ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VII. Nr 30/318

LONDYN, 26 LIPCA 1953 R.

S. ROGALA

F. J. SHEED WŚRÓD POLAKÓW

Katolicy Polacy przebywający na tej Wyspie żyją swoim życiem, katolicy Brytyjczycy swoim. Nici wiążące te dwie grupy, tak naturalnie, jak by się zdawało, ciążące ku sobie, są w istocie swej bardzo wątłe i w rzadkich nader wypadkach wzajemne kontakty przybierają bardziej masowy charakter. Wydaje się nawet, że po obu stronach wytworzyło się przyzwyczajenie do tego izolowania się i w małym stopniu podejmowane są wysiłki w kierunku usunięcia tych wszystkich uprzedzeń, jakie wyrastają najlepiej na jałowej glebie obojętności. Wydaje się dalej, że odrębności wypływające z przynależności do różnych narodów, różnice wynikające z odmienności temperamentów, innego toku dziejów zasłoniły fakt o doniosłym, a niestety nader często niedocenianym znaczeniu, kierowania się i tu i tam tą samą busolą życiową, jaką jest wspólna wiara. Nie ani mym celem, ani zadaniem analizowanie przyczyn wytworzonego stanu rzeczy, choć kwestia ta warta jest tego, by się nad nią po obu stronach poważnie i szczerze zastanowić i szukać zgodnie dróg wyjścia.

Pozostawiając więc na boku problem naszkicowany z lekka na wstępie, uwagę moją pragnąłbym skupić na jednym tylko fragmencie, który choć jest tylko elementem wyrwanym z większej całości, ma swe ogromne znaczenie praktyczne. Fragmentem tym są stosunki osobiste i związana z tym wymiana myśli. Upraszczaniem zagadnienia bowiem wydaje mi się a kładzenie wszystkich oporów i zahamowań na karb granicy językowej — istniejącej pomiędzy katolikami Polakami i katolikami Brytyjczykami. Ta tzw. granica językowa, jak sądzę, jest pojęciem sięgającym głębiej znacznie i dotyczącym w wielu wypadkach przynajmniej, odmienności nie tylko słownej, czysto formalnej, ale odmienności w samym podchodzeniu do zagadnień religii, samego stylu życia religijnego społeczeństw.

Refleksje te nasunął mi odczyt, jaki wygłosił w ubiegłą niedzielę na zebraniu Koła św. Stanisława Mr. F. J. Sheed. Już sama myśl zaproszenia jednego z wybitnych katolików brytyjskich do wygłoszenia referatu w polskim środowisku katolickim była jak najbardziej słuszna i godna poparcia. Jak wiadomo Koło św. Stanisława w Londynie od dłuższego już czasu program swych dyskusji oparło na analizie, znakomitej zresztą książki F. J. Sheeda „Theology and Sanity". Było więc rzeczą jak najbardziej wskazaną usłyszeć bezpośrednio autora książki, którą się studiuje. Ale ten względ postawiłbym na planie dalszym. Istotnym względem jest, kim jest F. J. Sheed i co sobą reprezentuje.

I tu wchodzimy w świat dla naszego stylu życia nieomal egzotyczny. Businessman, współwłaściciel poważnej firmy wydawniczej „Sheed and Ward", autor książek o treści teologicznej, jak m. in. wspomniana poprzednio „Theology and Sanity" i wreszcie mówca uliczny, tak, mówca uliczny z ramienia Catholic Evidence Guild. Wszystko w jednej osobie. Od gabinetu dyrektorskiego wielkiego londyńskiego wydawcy do wnikliwych studiów teologicznych droga wydaje się być daleka. Gabinet dyrektorski i zacisze gabinetu uczonego od przysłowiowej „paczki od mydła" trybuny mówcy ulicznego, wydawać by się mogło, dzieli przepaść. A więc coś w rodzaju podwójnego, a właściwie potrójnego życia. Jak najbardziej nie. Z tego co mówi, z tego jak mówi i jak pisze F. J. Sheed bije wewnętrzna harmonia, integralność służby skoncentrowanej na jednej sprawie. Skala środków jest ogromna, ale te wszystkie środki stosowane z całym mistrzostwem, są snopem zbieżnym, skupionym na jednym celu.

Tym celem jest apostolstwo wiary, świadoma, skupiona i twarda walka o zwycięstwo prawdy. Walka ta, jasno wynikało ze słów F. J. Sheeda, jak każda walka, wymaga doskonałego opanowania sztuki władania bronią i maksymalnej sprawności, uzyskanej w drodze stałego treningu. Walka ideologii, światopoglądów, to ścierania się intelektów. Dla jej prowadzenia konieczne jest posiadanie wiedzy i umiejętność techniczna jej propagowania, umiejętność obrony swego punktu widzenia. W tym świetle, to co wydawało się nam u F. J. Sheeda życiem w trzech odrębnych od siebie płaszczyznach, staje się logiczną całością, świadomym dążeniem do uzyskania kompletnego ekwipunku niezbędnego do natarcia. Kontakty nawiązywane z jednej strony ze szczytami inteligencji, z drugiej z przeciętnym, przypadkowym słuchaczem ulicznego mówcy, dają wszechstronną znajomość reakcji różnych bardzo ludzi. Liczne podróże po świecie, przedsiębrane w interesach, rozszerzają pole obserwacji ludzi, ich reakcji i odczuć. Znajomość człowieka, głęboka wiedza teologiczna i filozoficzna, przy zmyśle praktycznym kierownika firmy, przy wspaniałym opanowaniu techniki przemawiania — wszystko to razem wzięte daje wyobrażenie, jak wiele elementów, różnej, wydawałoby się natury, potrzebne jest do tego, by w dzisiejszych skomplikowanych czasach móc skutecznie podejmować walkę w dziedzinach idei. „Żyjemy w męczących, hałaśliwych czasach", powiada F. J. Sheed. Zgiełk życia współczesnego zagłusza słowa papieży, biskupów, filozofów pisarzy. Tempo życia, ciągła pogoń za nowymi wrażeniami usuwa w niepamięć to, co się widziało, czy słyszało przed godziną. Ale jest jeden głos, który głuszy ten zgiełk — to głos człowieka, mówiącego do człowieka. Stąd waga apostolstwa prowadzonego w swym własnym gronie, wśród ludzi osobiście znajomych w miejscu pracy, w sąsiedzkich pogwarkach, w gronie przyjaciół. To forma apostolatu najbardziej bezpośrednia, a przez to i najbardziej ludzka, najbliższa się być wydaje sercu, jeśli tak się można wyrazić, Sheeda. Chyba właśnie dlatego, że jest tak bardzo bezpośrednia i ludzka. Ale forma, w jakiej apostolat ten jest prowadzony, w żadnym wypadku nie zwalnia od rzeczy, którą F. J. Sheed uważa za niezbędną, od gruntownego przygotowania się do wypełnienia przyjętej na siebie misji. Ten warunek przy tym nie wypływa jedynie z momentów praktycznej natury, skuteczności podjętego zadania, ale w równym co najmniej stopniu wypływa z głębokiej uczciwości.



„Człowiek, który chce wytłumaczyć komuś piękno muzyki, nie może ograniczyć się wyłącznie do słów. Musi sam umieć grać na jakimś instrumencie, by móc to piękno zademonstrować". Trzeba samemu umieć. I w tym lapidarnym stwierdzeniu leży sedno zagadnienia. W tym tkwi odwrócenie obrazu, który na pierwszy rzut oka układa się przed nami w przestawionym porządku i dziwi nas trochę, a trochę może i szokuje, że oto ten uczony filozof-teolog drapie się na „paczkę od mydła", by przemawiać po rogach londyńskich ulic. Wydaje mi się, że jest przeciwnie i że Sheed właśnie i po to studiuje teologię, by móc przemawiać do ludzi przypadkowych, często niechętnych, zwykle obojętnych, zawsze ogłuszonych zgiełkiem współczesnego życia. Robi to z prostej uczciwości w wykonywaniu swego zadania. Przy takim ujęciu pozorna szerokość zainteresowań zmienia kierunek w dogłębność zainteresowań.

Ta zasada solidnego przygotowania myślowego leży u podstaw metody pracy Catholic Evidence Guild. Ludzie poświęcający się apostolatowi muszą się stale uczyć. Zdanie przepisanych egzaminów pozwala na zaczęcie działania, nie kończy jednak okresu szkolenia się. Bo okres ten nigdy się nie kończy.

Odczyt F. J. Sheeda, z którego nieliczne wyjątki cytowałem nie w celu zresztą streszczenia wywodów prelegenta, a jedynie dla naszkicowania sylwetki człowieka, wprowadził audytorium polskie, jak już poprzednio wspomniałem, w świat nieco dla nas obcy. Walki duchowej, która toczy się tuż obok nas, my na codzień jakoś nie dostrzegamy. Podchodząc do zagadnień religijnych raczej uczuciowo, traktując religię, jako jedną z nierozerwalnych części tradycji narodowej, nie zawsze skłonni jesteśmy zdawać sobie sprawę z tego, że zmiana warunków życiowych, oderwanie się od naturalnego dla nas podłoża — własnego kraju, rzuciła nas na teren cichego, z uporem prowadzonego zmagania się poglądów na świat. Nie zdajemy sobie często sprawy i z tego, że znalazłszy się na polu walki trudno nam będzie przez czas dłuższy utrzymać pozycję neutralnego obserwatora. Ta neutralność może w swych skutkach zacząć przynosić nam poważne straty w życiu katolickim. Słusznie F. J. Sheed zwrócił uwagę na dwa fakty, które powinny nas zaniepokoić. Pierwszy to ten, że Irlandczycy, którzy podobnie jak i my do zagadnień religii podchodzą, bardziej emocjonalnie, niż racjonalnie — po przyjeździe do Wielkiej Brytanii w dużej ilości wypadków tracą swą wiarę, bo nie umieją jej bronić przede wszystkim w stosunku do samych siebie. Bowiem ich znajomość zasad i nauki katolicyzmu kończy się wraz z ukończeniem nauki szkolnej. Drugi — dotyczy pisarzy katolickich. Na całym świecie, według obserwacji F. J. Sheeda, brak jest młodych pisarzy katolickich. Ci zaś, którzy przodują, to ludzie conajmniej w wieku średnim, i są to albo konwertyci, albo ludzie, którzy po okresie odejścia od Kościoła, do niego powrócili. I jedni i drudzy — w wieku dojrzałym, konwertyci po raz pierwszy, powracający ponownie, studiowali podstawy katolicyzmu i naukę Kościoła. Katolicy z urodzenia żyją często formą, a jak w każdej dziedzinie życia forma ma tylko wtedy istotną wartość, jeśli jest zewnętrznym wyrazem głębszej treści. Treść bowiem, nie przywiązanie do formy, jest podstawą stałości i trwałości.

Wspomniałem na wstępie, że katolicy Polacy, żyją obok katolików Brytyjczyków; grupy te ledwie dostrzegają wzajemnie swoje istnienie. Z tego, co już zostało napisane, wynika jasno, że obecny stan rzeczy nie jest moralnie korzystny dla żadnej strony. Zetknięcie się środowiska katolickiego polskiego z tak wybitnym przedstawicielem katolickiego świata brytyjskiego, jakim niewątpliwie jest F. J. Sheed, wykazało, jak bardzo pożyteczną jest możność wymiany poglądów, i to właśnie dlatego, że pomiędzy tymi grupami, przy wspólności wiary, istnieje duża odmienność sposobu reagowania, odczuwania, rozwiązywania zagadnień praktycznych. Ta różnorodność natury psychicznej nie niweczy jednak jedności wyższego rzędu. Rzecz jasna, że istnieje olbrzymi zespół spraw i zagadnień, trudności i potrzeb właściwych tylko dla Polaków, jak istnieje cały zespół odmiennych zagadnień, właściwych dla Brytyjczyków. Tak na przykład cały zespół spraw związanych ze znalezieniem drogi wyrażenia ducha narodu w życiu religijnym tu powinien być włączony, zespół zagadnień dla nas specjalnie ważny i istotny. Ale są to kompleksy zagadnień odrębnych, nie dzielących, podkreślam, odrębnych. Ale jest i nie mniejszy zapewne od poprzedniego zespół zagadnień łączących. Mam tu na myśli to, co się mieści w cytowanym przez F. J. Sheeda zdaniu G. B. Shaw'a, że walka klas w przyszłości będzie walką klas intelektualnych, a celem jej będzie walka o duszę człowieka. Zagadnienie walki z materializmem, zagadnienie budowania siły moralnej Zachodu jest problemem wspólnym dla wszystkich katolików i we wspólnym wysiłku musi on być rozwiązywany, w olbrzymim wysiłku i to w pierwszym rzędzie myślowym.

Kończąc me uwagi, pragnąłbym przytoczyć wypowiedź prelegenta, zamykającą niejako wspomniane zebranie. F. J. Sheed powiedział, że Brytyjczycy mają wielkie długi w stosunku do Polski i on, jako Brytyjczyk, stara się osobiście, jak może, choć drobną część tego długu spłacić. Słowa Sheed'a szczerze wyrażały rzetelność myślenia, która cechuje każde wypowiedziane przez niego zdanie.

S. Rogala

JAN BALIŃSKI JUNDZIŁŁ

Z ŻYCIA MIĘDZYNARODOWYCH ORGANIZACJI KATOLICKICH

W początku czerwca br. odbyło się w Lucernie doroczne zebranie Rady Międzynarodwej Federacji Mężów Katolickich pod przewodnictwem p. Le Cour Grandmaison. Przy tej sposobności omówiono następujące sprawy, które zeszłoroczny Kongres madrycki powierzył Federacji do wykonania.

Kościół prześladowany. — Akcja na rzecz Dnia Modlitwy za prześladowanych rozwija się, zataczając stopniowo coraz szersze kręgi. Na wniosek Akcji Katolickiej episkopat hiszpański wyznaczył Niedzielę Męki Pańskiej jako dzień modlitw dla całej Hiszpanii oraz zbiórki związane z pomocą dla prześladowanych. Liczni biskupi hiszpańscy wydali w b. r. listy pasterskie w tej sprawie, zaś Akcja Katolicka wydała książkę p. t. „La Iglesia del Silencio", zaopatrzoną wstępem prymasa Hiszpanii, kardynała arcybiskupa Toledo, który w gorących słowach zapewnia katolików za żelazną kurtyną o „intenso sentimento de fraternidad crestiana".

We Włoszech ostatni dzień Tygodnia Modłów za jedność Kościoła zostaje poświęcony modlitwom za Kościół prześladowany, w r. b. wypadło to w trzecim tygodniu lutego. Jednocześnie Włosi rozwijają szeroką działalność informacyjną przez prasę, specjalne afisze, wreszcie przez wystawę, zorganizowaną w Rzymie, przedstawiającą sytuację Kościoła za żelazną kurtyną. Mons. Brunello wydał udokumentowane opracowanie o walce z religią w krajach, będących pod kontrolą sowiecką. Przebywający we Włoszech uchodźcy wygłosili w ciągu trzech miesięcy wiosennych z górą 600 referatów o sytuacji w krajach, z których pochodzą.

Francja i Belgia prowadzą szeroką akcję informacyjną za pośrednictwem prasy katolickiej, wykładów i zebrań. We Francji ukazało się pierwsze, dokładne opracowanie o sytuacji Kościoła w komunistycznych Chinach. Jest to zbiorowa praca księży misjonarzy francuskich, którzy zostali z Chin usunięci. Opracowanie nosi tytuł „L'etoile contre la Croix". Dzień 16 maja był wyznaczony przez francuską Akcję Katolicką jako dzień modłów na intencję wszystkich prześladowanych.

W Niemczech wyznaczył Episkopat dzień 24 września, święto Najśw. Marii Panny od wykupu niewolników, Szwajcaria — pierwszą niedzielę października na dzień modłów za kraje prześladowane.

Rada Międzynarodwej Federacji Mężów Katolickich postanowiła całą tę akcję wzmacniać i pogłębiać, zwracając szczególną uwagę na to, aby Dni Modłów miały miejsce we wszystkich krajach wolnego świata. Równocześnie postanowiono rozwinąć akcję informacyjną o metodach stosowanych w polityce bezbożnego komunizmu przeciwko Kościołowi oraz położyć akcent na akcję radiową, za której pośrednictwem katolicy tych krajów byliby coraz lepiej informowani o tym, że się o nich pamięta, troszczy i modli wraz z nimi o mężne wytrwanie i wyzwolenie. Do stałej Komisji do spraw Kościoła prześladowanego Konferencji Międzynarodowych Organizacji Katolików powołała Rada jako swego przedstawiciela J. Balińskiego Jundziłła.

Akcja na terenie organizacji międzynarodowych. Problemy populacyjne, które wysuwają się poza sprawami polityki bieżącej na pierwszy plan studiów, wypracowujących zasady akcji gospodarczej, społecznej, zdrowotnej, prowadzonej przez organizacje Narodów Zjednoczonych oraz organy techniczne jej podległe, nabierają wielkiej aktualności w związku z konferencją międzynarodową poświęconą temu zagadnieniu, przygotowaną przez ONZ na wrzesień 1954 r.

Znane są tendencje maltuzjańskie, które głęboko nurtują w społeczeństwach anglosaskich. W tzw. planach rehabilitacyjnych krajów o niższym stopniu rozwoju (głównie Azji i Afryki) przeważa ten punkt widzenia, prowadząc w praktycznych swych konsekwencjach w dziedzinie najbardziej zasadniczej prawa do życia i poszanowania życia, do poczynań takich jak ograniczanie i kontrola urodzeń. Zagadnienia te, które mają być omawiane na konferencji Organizacji Narodów Zjednoczonych, mieszczą się w zakresie dwóch jej organów, a mianowicie: Organizacji Zdrowia (siedziba w Genewie) i Organizacji F.A.O (siedziba w Rzymie), której naczelnym dyrektorem jest p. de Castro, prof. uniwersytetu w Rio de Janeiro. Organizacja Zdrowia miałaby głos, gdyby zasada ograniczenia urodzeń w krajach o niższym stopniu rozwoju została przyjęta i praktycznie zastosowana. Natomiast F. A.O. może w bardziej pośredni sposób wpływać na kształtowanie się polityki populacyjnej. W pewnych wpływowych ośrodkach jest od lat propagowane przewidywanie (szczególnie po drugiej wojnie światowej), że produkcja artykułów żywnościowych nie jest wystarczająca i że rozwój tej

(Dokończenie na str. 4)

ŚW. FRANCISZEK SALEZY

(1567 — 1622)

O ŁAGODNOŚCI WOBEC SAMEGO SIEBIE

(Rozdział IX części trzeciej „Wprowadzenia do życia zbożnego" znanego również pod tytułem „Filotea").

Jednym z dobrych ćwiczeń w łagodności jest wziąć siebie samego za jej przedmiot i nie obruszać się nigdy na siebie ani na swoje ułomności; bo chociaż rozsądek wymaga, abyśmy popełniając błędy byli z nich niezadowoleni i strapieni, to jednak trzeba się wystrzegać niezadowolenia cierpkiego i gnębiącego, zniechęcającego i gniewnego. Wielki tu popełniają błąd ci, co wpadłszy w gniew, złoszczą się na siebie samych o to, że się rozzłościli, gnębią się swoim przygnębieniem i rozżalają na swe rozżalenie; w ten sposób bowiem marynują i duszą swe serce w gniewie — i choćby ten wtórny gniew stłumił na pozór gniew pierwotny, otwiera on drogę i robi pole nowemu gniewowi, który się zjawi przy pierwszej nadarzającej się sposobności; a nadto gniewy owe, kwasy i urazy do siebie samego służą pysze i nie z czego innego biorą swój początek jak z miłości własnej, która się burzy i trapi widokiem naszej niedoskonałości.

Niezadowolenie z błędów winno być spokojne, zrównoważone i stanowcze. Sędzia, który wydaje wyroki w pokoju ducha i kierując się rozumem, znacznie lepiej karze złoczyńców — niż gdyby to czynił porywczo i namiętnie, jako że sądząc namiętnie karze on przestępstwa nie podług ich natury, lecz — swej własnej; podobnie i my karzemy lepiej samych siebie przez skruchę spokojną i stałą niż przez zaprawioną goryczą, niepokojem i gniewem, gdyż żałując porywczo, nie dostosowujemy żalu do ciężaru win, ale do swego usposobienia. I tak na przykład ktoś, kto sobie upodobał cnotę czystości, będzie sobie z niesłychaną goryczą wyrzucał najmniejsze przeciw niej wykroczenie, a śmiechu warta wyda mu się najcięższa obmowa. Na odwrót, ktoś, kto nienawidzi obmowy, dręczyć się będzie najlżejszym szemraniem, na jakie sobie pozwolił, za nic mając równocześnie grube uchybienie czystości; podobnie inni... A dzieje się tak tylko dlatego, że roztrząsając swe sumienie kierują się nie rozumem, lecz namiętnością.

Wierzaj mi, Filoteo: Jak łagodne i serdeczne wymówki ojca o wiele skuteczniej służą poprawie dziecka niż gniewy i połajanki, tak, jeśli serce nasze, gdy zbłądzi, zganimy łagodnie i spokojnie, z większym współczuciem ku niemu niż uczuciem gniewu przeciw niemu — skrucha tym wywołana wejdzie w nie skorzej i przeniknie je głębiej niż żal przygnębiający, gniewny i burzliwy.

Co do mnie, gdybym na przykład gorąco pragnął ustrzec się grzechu próżności, a przecie by mi się przydarzył ciężki w tym względzie upadek — nie ganiłbym serca swego w taki sposób: „Nie jesteśże ty nikczemne i podłe, że po tylu postanowieniach poprawy dałoś się ponieść próżności?... Spal się ze wstydu, nie waż się wznieść oczu ku niebu, ślepcze, bezwstydniku, zdrajco i przeniewierco Boga twego..." i tak dalej... Starałbym się natomiast strofować je z umiarem i współczuciem: „Ha, cóż, nieboże, wpadło się, wpadło w jamę, którąśmy sobie tak mocno postanawiali omijać... Podnieśmy się i porzućmy ją raz na zawsze, błagajmy zmiłowania Bożego i ufając, że doda nam sił, powróćmy na drogę pokory; miejmy się na baczności a z Bożą pomocą dokonamy niemało." Na podstawie takiej nagany zbudowałbym rzetelne i mocne postanowienie, że obrawszy odpowiednie środki, tudzież kierując się radami swego przewodnika duchowego — w błąd ten już nie wpadnę.

Gdyby wszakże ktoś uważał, że taka łagodna wymówka nie dość by wzruszyła serce jego, może dla wprowadzenia go w głębokie zawstydzenie posłużyć się wyrzutem pełnym twardej i silnej odrazy, pod warunkiem jednak, że zgniewawszy się i szorstko złajawszy serce swoje zakończy daniem mu folgi i przeobrażeniem żalu i gniewu w słodką i świętą ufność w Bogu, na wzór owego wielkiego pokutnika, który tak podnosił swą przygnębioną duszę: „Czemu smutna jesteś, duszo moja, i czemu mnie trwożysz? Miej nadzieję w Panu, albowiem jeszcze będę Go wyznawał, zbawienie oblicza mego i Bóg mój."

Spokojnie więc i łagodnie dźwigaj serce swoje z upadku, korząc się wielce przed Bogiem w poczuciu swej nędzy, lecz nie zdumiewając się wcale tym upadkiem, bo jako żywo nic w tym dziwnego, że ułomność jest ułomna, słabość słaba, a nędza nędzna. Ze wszystkich sił jednak miej w nienawiści obrazę, jaką wyrządziłaś Bogu, i z wielką odwagą i ufnością w Jego miłosierdzie powróć na drogę cnoty, z której zeszłaś.

Przełożył Michał Sambor

BEATA OBERTYŃSKA

ZIARNKA PIASKU 2)

OPOWIADANIE

Bo weźmy na przykład starego Jana. Cóż? Mój Boże! Najzwyklejszy preclarz w parku.

Nosił druciane, nitką powiązane okulary, przez których małe szkła patrzyły oczy spełzłe, jak kwiat cykorii w bardzo upalne lato. Był niesłychanie schludny i pogodny. Mówił rzadko kiedy słyszanym wtedy przeze mnie śliniastym, mazurskim akcentem, zawiesiście i niewyraźnie, spod białego, na bezzębne usta opadłego wąsa. Głos jego miał w sobie jakieś głuche, śmietanowe dudnienia, a brwi, tak samo jak wąsy kłapciaste, ruszały mu się zabawnie i osobno, jak legawemu psu.

Nie stary Jan był jednak najważniejszy. Ważniejszym od niego był jego kosz, wyścielony dużą serwetą, wygniataną w jędrną, biało-różową, wypukłą kostkę. Brzegi serwety zwisały przez brzeg kosza, rozszczepioną grzywką, w której białe i różowe nitki, dobrnąwszy szczęśliwie do brzegu tkaniny, rozdzieliły się nareszcie w osobne, biało-różowe szczoteczki. Po obu stronach kosza rosły gładkie drążki, a na nich, nadziany jeden na drugim, złociły się precle. Jedne z makiem, drugie z solą. Te z makiem były ciemniejsze i ciemniej wypieczone. Te z solą grubsze, bledsze i zawsze jakby lekko wilgotne. Białe krople soli, mętne dęte, leżały na nich, jak zastygłe, pogubione łzy. Bardzo lubiłam rozgniatać je palcem. System jedzenia precla był zawsze jednakowy: wyłamywało się najpierw te cieńsze zakrętasy ze środka, a mięsisty, najgrubszy okrąg, zjadało się na samym końcu. Był wewnątrz porowaty i gąbczasty, jak noga grzyba prawdziwka. Jedzenie precla nie miało nic wspólnego z głodem, czy łakomstwem. Łakoma nie byłam nigdy, a o braku apetytu słyszałam codzień w owych zwięzłych raportach, składanych ojcu i jego białemu szalikowi w drzwiach przez Mademoiselle. Zmysł smaku jednak był we mnie tak samo chyba czuły jak wzrok i węch. Umiał tak samo wyłapywać wrażenia, tak samo przekazywać je pamięci, tak samo je kojarzyć ze wszystkim, co w tym samym czasie i na własną rękę, wyłapywały z powietrza tamte cztery pozostałe czułki. Jedząc precel jadło się przecie równocześnie słońce, porę dnia, pogodę i to właśnie, po swojemu konsumowane dzieciństwo.

Bo, by patrzeć na świat jak dorośli, widywałam przeważnie spód kosza i jego boki. Najeżdżał na mnie, jak kruchy, pachnący nawis i pamiętam dobrze niebieskie niebo nad sobą, obrodzone różową grzywką serwety i cień starego Jana, by móc pod słońce w górę na kosz ten patrzeć. Ale czasem zdarzało się i tak, że stary Jan przysiadał sobie na pobliskiej ławce i wtedy mogłam wybierać w tym skarbcu!

Mademoiselle zawsze wolała mi kupić andruty niż miętówkę. Mówiła, że to zdrowsze. I człowiek wgryzał się potem w taki andrut, miał uszy pełne smakowitego chrzęstu i chrupania, pełno okruszek na fartuszku i myślał sobie jeszcze, że je dobrze wypieczony, lekki, słodki księżyc.

A stary Jan uśmiechał się pogodnie oczyma koloru spełzłej cykorii i coś mamrotał głucho pod wąsami. Czasem zdejmował płytki, twardy, jak deska, słomkowy kapelusz i kraciastą chustą wycierał najpierw czoło, a potem pociemniały pasek skórki, obiegający dokoła wnętrze kapelusza. Ruch ten wydawał mi się niesłychanie ważny i dorosły. Próbowałam go potem z moim kapeluszem, ale nie wychodziło. Mój kapelusz, po pierwsze, był miękki, po wtóre, nie miał żadnej skórki w środku, po trzecie, nie dudnił tak jak kapelusz starego Jana. W ogóle trudno mi było dorównać staremu Janowi. Ponieważ miał na własność ów kosz zaczarowany, uważałam go za najszczęśliwszego człowieka na świecie. Może nim zresztą i był. Może tak jak ja tworzył sobie szczęście z powietrza?

To samo jednak powietrze, które tak łatwo rodziło tyle radości, umiało je także czasem wchłonąć bez ratunku. Mam tu na myśli latające balony. Ileż to takich zaklętych kul odeszło w błękit z nad mego dzieciństwa! Ileż to razy, stojąc na ścieżce w parku, patrzyłam z rozpaczą, jak taki przed chwilą jeszcze mój, a teraz już niczyj, balon, ociągliwie i bezpowrotnie wstępuje sobie w niebo! Nie umiałam nigdy płakać po nim od razu. Dopiero wieczorem, w ciemności przestrzelonej smugą światła z pokoju Mademoiselle, opadał mnie obezwładniający żal i strach, ale strach nie mój, tylko cudzy, ten, który czuł teraz na pewno ów biedny balon, na widok coraz bliższych, coraz wyraźniejszych gwiazd, na które nadziawszy się za chwilę — pęknie! Umiałam się tak wczuć w straszliwość jego wysokiej samotności, w bezmiar otaczającej go nocy i tak dokładnie zobaczyć te nieubłagane, złociste kolce, jakbym je sama miała tuż przy twarzy. I wtedy zaczynał się ryk, gorący, rozchlipany, od którego zamakały mi uszy i poduszka, a który uciszyć umiała dopiero rzeczowa czułość, pochylonej nade mną w mroku Mademoiselle. Kończyło się zawsze tym samym: jeśli natychmiast nie przestanę, nigdy więcej nie kupi mi balona. Toteż potem kiedy nad ścieżką mego życia zjawiało się znowu kolorowe grono rozkołysanych w słońcu bąbli, musiałam ja bardzo długo błagać i nudzić, obiecywać złote góry marchewki, którą za to zjem, białe bezbrzeża mleka, które za to wypiję, nim mi wąsaty baloniarz omotał wreszcie palec końcem bawełnianego sznurka.

To była chwila, której radość mam w sobie namacalnie do dziś. Tyle, że była to radość inna od innych. Nie wiem, jak ją opowiedzieć. Radość, spowodowana nie tyle może posiadaniem upragnionej rzeczy, ile rozkosznie bolącym przeświadczeniem, że posiadając ją, nigdy się jej nie posiada naprawdę, że się ją traci od pierwszej chwili, a wita do ostatniej, że jest za każdym razem nowa, nigdy nie nauczona, zawsze pierwsza i zawsze jedyna. (Jak miłość). A potem prowadziłam nad sobą po powietrzu tę do połysku nadętą kolorową kulę, ów glob zaczarowany, to lotne, wiecznie zagrożone, nietrwałe szczęście, o którym wiedziałam, że jeśli mi zaraz nie ucieknie, to mi i tak kiedyś zbabczeje. (Jak szczęście). Przyciągany czasem za sznurek ku sobie zniżał się ociągliwie i wahająco, a potem mlaskał i trzaskał i syczał pod lepiącymi się doń i znów odrywanymi palcami, których ślady zostawały drobną, matową siateczką na głucho bębniącej błonie. Kto nie pamięta z dzieciństwa szelestu takiej szklistej, kiwającej się na sznurku, lepkiej łysiny? Albo wpiętego w nią, kolczastego rozprysku wysokiego nieba. Albo gorzkiej, przykrej, a jakże cudownej woni gumy, gazu i słońca? Wokół mięsistego, ciasno u spodu balona zebranego dzióbka skupiał się zwykle kolor gęsty i matowy, jak osad w kałamarzu. Wiedziałam, że tędy, tym dzióbkiem właśnie, umiera każdy balon. Tyle razy przeżywałam przecie jego śmierć. Jeśli udało mi się kiedy donieść go szczęśliwie do domu, już pod wieczór zaczynał więdnąć. Czas jakiś łaził jeszcze niemrawo pod sufitem, pociągnięty w dół i puszczony umiał się jeszcze unieść, trącić sufit ciemieniem szeleszcząco, zwiędle i zasnąć w jakimś rogu. Ale nazajutrz nie miał już siły nawet nitki dźwignąć w powietrze. Zmatowiały, klęsnący błyndał się nad samą podłogą, pchał pod szafy, albo zatajał smutno w byle kącie, daremnie podbijany, daremnie poddmuchiwany, daremnie błagany, aby żył. No, a potem robił się z niego kłębuszek nie wiadomo czego, lepki przykry w dotknięciu, pełen matowych, liszajowatych wypukłości, coraz mniejszy, coraz ciemniejszy, aż umierał. Czasem umiała go jeszcze wskrzesić Marysia, ale na krótko i bez polotu. Nadymała go jak papierową torbę i znowu silnie związywała nitką. Żałośnie zbabczona bańka nie miała już jednak ani pierwotnego koloru, ani pierwotnej przejrzystości, tylko płakała grubymi łzami skroplonego w niej oddechu. I wtedy też Marysia robiła zazwyczaj koniec tej męce. Przekłuwała grząski bąbel grubą igłą do cerowania i rozdzierała siną błonę na strzępki, mokre, śliskie, zwijające się do środka, jak płatki przekwitłego irysa. Do dziś każdy zwiędły irys jest mi takim zdechłym, latającym balonem mego dzieciństwa.

A potem była jeszcze sadzawka z łabędziami. Ta ciągnęła mnie ku sobie niewytłumaczonym smutkiem i tajemniczością. I tak było zawsze. Przed Malwiną jeszcze. To doskonale pamiętam.

Leżała na uboczu, między spadzistymi brzegami trawników, nieruchoma, mętna, poplamiona tu i tam, kożuchami zielonej rzęsy, przy której woda zdawała się czarno-pawia i jeszcze mniej do wody podobna. Nigdy dotychczas nie widziałam czarnej wody. Woda w szklance, w karafce, w kurku, czy w studni była biała i srebrna. Deszcz też był przecież biały. Jedynie ta sadzawka miała w sobie mrok, ponurość i ciszę obcą znajomym mi wodom i może dlatego czarowała. Mokła w niej w dodatku odbiciem cała gęstwa parkowych drzew, o rozmaitej zieloności i kształtach. To też było cudowne! Ten park wiszący w dół, do góry nogami, czubami w przepaść mrocznego, niepodobnego nieba, które miałam pod sobą! W niedużej kępie, tajemniczej, niedostępnej, dalekiej kępie na środku sadzawki, mieścił się domek łabędzi.

W jednym tylko miejscu można było bliżej podejść do wody, a raczej woda podchodziła bliżej ścieżki. I stąd karmiło się łabędzie. Płaczące wierzby mrowiły się na piasku sennie ruchliwym cieniem, zwisały nad samą wodą i na rozległych, szklistych jej błyskach, rysowały się czarno i wyraźnie. Pod rozkołysane strugi płaczących liści, wjeżdżały czasem wyniośle te białe, cudowne, puszyste żaglowce, o długich, giętkich szyjach, wilgotnych naroślach nad dziobami. Dziwnym, od spodu jakby nadziewającym ruchem, zbierały z powierzchni kawałki kołyszącego się na wodzie precla, po czym dziwnym, wyniosłym, bezosobowym ruchem odwracały się i odpływały na puszyście nad sobą rozdętych skrzydłach. Gładki, rozszerzający się klin na wodzie znaczył leniwie ich odejście.

Nigdy mi tych łabędzi nie było dość! Zostało mi to zresztą do dziś. Łabędzi nie można wyczerpać. Są zawsze niespodzianką. Łabędzi nie można się nauczyć. Zawsze widzi się je pierwszy raz. Nie umiem tego inaczej określić. Łabędzie są póty tylko, póki się je widzi. Potem się podziewają.

W zupełnie inny świat przeżyć wprowadzała mnie za rękę Mademoiselle, kiedy mnie brała ze sobą po sprawunki. Zgiełk i pośpiech miasta przerażał mnie po prostu. Nie mogłam nadążyć z łykaniem wrażeń. Najeżdżały na mnie zbyt zwartą, zgiełkliwą falą i marnowały się niezużytkowane.

Program naszych chodów był zawsze ten sam. Rzadko kiedy przed południem szłyśmy do pani Tamskiej. To musiało być gdzieś nie po drodze. Był tylko rynek, sklepy i katedra. Mademoiselle bardzo lubiła wstępować tam na pacierz. I lubiła widocznie wyzłoconą, jak orzech z drzewka, kaplicę Przenajświętszego Sakramentu, bo zawsze szła prosto tam. A ja lubiłam znowu mroczny chłód tej kaplicy, przy nagłym zmatowieniu ulicznego szumu, zapach kadzidła i to wszystko, czego nie rozumiałam, a co trwało tam w powietrzu onieśmielające, tajemnicze, rozmrugane rubinowo płomyczkiem wiecznej lampy. Nigdy tylko nie mogłam zrozumieć, czemu, skoro w kościele było tak cicho i nieruchomo, szaty na tych królach i biskupach, tam, wysoko, pod złotą kolumną, była takie spłoszone i porozwiewane. I dlaczego ten brodaty król o złotych rękach i kolanach ma tak płaczliwą minę i taki śmieszny, wykręcony ruch? Zdecydowanie nie lubiałam tego króla i często pokrzywiałam mu się na daleko, próbując przybrać przed lustrem — jemu na złość — tak samo dziwaczną, wykrętną pozę.

Z tych też czasów pamiętam rynek. On jeden się nie zmienił. Zapach jarzyn i kwiatów, mokrych kamieni i gorącego tłumu, odnajduję tu po latach, ten sam. Płaskie grzyby parasoli, stoki koszów z owocami i to senne, bezcelowe przegniatanie się ludzi między straganami, jakby nikt nie wiedział czego szuka i czego chce i jakby nikt nie był pewny, co ostatecznie kupi.

Mademoiselle na rynku robiła się taka, jak wszyscy. Niezdecydowana. Zatracała swą normalną celowość. Pytała czasem o cenę ogórków, zielonego agrestu i cebuli, choć nawet ja wiedziałam, że nie ma zamiaru nic kupować. Ale na rynku tak właśnie się robi. Wałęsa się człowiek leniwie, przystaje tu i tam, omija wyrastające mu spod nóg kopczyki młodych, na różowo spierzchniętych kartofli, sita z bladymi grzybami, spiętrzone na rozesłanym worku, seledynowe kupki łuszczonego bobu. Niczego nie chce, niczego nie kupi, ale mu trochę żal, że niczego nie kupi i niczego nie chce. I dopiero kiedy wyląduje szczęśliwe po drugiej stronie zgiełku, trans mija i każdy staje się sobą. Przypomina sobie nagle, że się śpieszy, że ma jeszcze to i owo do załatwienia i że już pewnie dobrze po dwunastej.

Nie! Właśnie dwunasta. Oto ratusz nabrawszy głęboko tchu, zaczyna dostojnie odliczać godzinę. Jakąś cudowną, niepowrotną godzinę mego dzieciństwa.

W sklepach Mademoiselle była całkiem inna, niż na rynku. Zawsze wiedziała, czego chce. Nigdy nie pytała o cenę czegoś, czego nie miała zamiaru kupić. Nigdy się nie wahała i to, po co przyszła, wybierała zawsze od razu. Po wyjściu ze sklepu dawała mi czasem, mały, dobrze związany pakuneczek do niesienia. Ogromnie mnie to zaszczycało i wydawało mi się zawsze, że wszyscy na ulicy myślą, że jestem dorosła. Ponieważ chodziłyśmy przeważnie do tych samych sklepów, w niektórych uśmiechano się do mnie, gdy wchodziłam. Myślę, że musiałam po prostu ludzi bawić. Moje fotografie z tych czasów, śmieszą mnie samą. Głowa jak bodiak, chuda, sprytna pyszczyna i trochę odstające, duże uszy, wymiecione uczciwie i bezpretensjonalnie spod okrągłego, na tył głowy nadzianego kapelusza. Gdybym spotkała takie dziecko na ulicy, uśmiechnęłabym się do niego tak samo, jak się do mnie uśmiechali wtedy inni. Także łamana polszczyzna Mademoiselle wywoływała czasem dyskretne uśmiechy subiektów. W tym sklepie za to, w którym pracował Edmund, mogła się porozumieć po francusku.

To była drogeria. Mademoiselle kupowała tu rumiankowe mydło dla Karola i proszek miętowy do zębów. Wnętrze sklepu czuć było ceratą, perfumami, goryczką kokosowych chodników i lakierem. Edmund, w czarnym, klotowym kitlu, wymuskany i pachnący, uwijał się w tej części sklepu, gdzie rosły przybory toaletowe. Zachowywał się jak człowiek, który wie, że jest przystojny. Może nim zresztą i był. Szpeciły go tylko mocno między oczy wpięte ostre szkła. Najwidoczniej lubił się w sklepie popisywać swoją francuszczyzną. Był też dla Mademoiselle niesłychanie ugrzeczniony. Zachwalał jej jakieś nowe, francuskie perfumy, których zresztą nigdy nie używała. Puder kupowała zawsze ten sam i ten sam krem do rąk. Sposób bycia Edmunda śmieszył mnie i fascynował. Nikt się nie ruszał tak, jak on. I nikt tak nie pakował paczek. Lotnym ruchem zrywał z wałka papier, rozścielał go na ladzie jak połę rycerskiego płaszcza poczem szybko i pomysłowo piętrzył na nim te różne mydła, proszki, szczoteczki i tubusy. Papier, jak wytresowany, giął mu się pod rękami w czyściutkie, proste, w lot zagłaskiwane kanty, w dzióbki załamań zawsze odpowiednio długich do długości paczuszki, którą nie wiadomo kiedy, umiał wykonać błyskawiczną piruetę w powietrzu, nim chrupnął raz i drugi zaciągany węzełek. Nie patrząc, chwytał jeszcze z gzymsu półki za sobą nożyczki, jedno śmiertelne cięcie i oto Edmund, szarmancko nad ladą pochylony, zawiesza Mademoiselle gotowy pakiecik na palcu.

Dziwnie wyraźnie pamiętam jego wypielęgnowane ręce, o długich, ostrych paznokciach. Pewnie dlatego zwróciłam na nie uwagę. Na małym palcu nosił pierścionek z sowią główką. To było także ważne. Taka sama bowiem sowia główka kołysała się między brelokami Mademoiselle. Był to imieninowy podarunek pani Tamskiej.

Pani Tamska, pani Adela Tamska, była Francuzką, wdową po polskim emigrancie. Żyła z lekcji. Tyle pamiętam.

Nie ma już dziś nikogo na świecie, kto by mi mógł powiedzieć, gdzie mieszkała. To tylko pamiętam, że to było w obrębie jakiegoś klasztoru, gdzie zakonnice wynajmowały pokoiki samotnym, starszym paniom. Nie potrafiłabym tam już dziś trafić. Umie to tylko moja pamięć.

Wchodziło się w duży, cienisty dziedziniec z kasztanami. Pod górę. Płyty chodnika pamiętam, mocno pochyłe i różowawe. Dość długo szło się tymi kamieniami, w boczne skrzydło klasztornych zabudowań. Potem były strome, drewniane schody, przylepione nazewnątrz muru. Potem długi, obiegający całe podwórze dokoła, dźwięczący żelazną galerią, ganek, skąd już cały szereg drzwi wiódł prosto z dworu do tych poszczególnych, klasztornych dziupli.

Pani Tamska mieszkała na drugim piętrze, w ostatnim załamaniu ganku, w ostatnich drzwiach na lewo. Po dwóch zdeptanych schodkach wchodziło się do mieszkania. Mała sionka, czy kuchenka, jakaś szafa, jakiś kufer, umywalnia za parawanem, oszklone drzwi z niską klamką i pokoik.

Mroczno tam było i bardzo ciasno. Okno w mur klasztorny głęboko wpuszczone i zastawione wazonkami, musiało wychodzić na północ. Nigdy tu nie pamiętam słońca, tylko martwy, równomiernie w powietrzu rozpylony refleks od ścian i dachów naprzeciwko. Niski sufit był zawsze podświecony od spodu, jakby na świecie ciągle była zima.

Nagromadzone tutaj sprzęty były widocznie niedobitkami jakichś lepszych, zamożniejszych czasów. Zmatowiała politura mahoniowej szafy, szlachetna linia kruchej etażerki z galeryjką, lustro w wole oczka, komoda z brązami i zegar na alabastrowych kolumienkach, wreszcie różne często nadbite kryształy i staroświeckie porcelanowe czerepki, mówiły wyraźnie, że ten mały, klasztorny pokoik jest żałosną wysepką, na którą powódź czasu wyrzuciła bądź jak wybrane resztki czyjegoś dostatniego ongiś mienia. Dziś wszelka ładność tych okruchów nikła w ciasnocie i nagromadzeniu. Wszędzie tu coś na czymś stało. Na szafie walizka, na bufeciku półka z książkami, pod konsolą kufer. Czuło się rozpaczliwą chęć wyzyskania każdej próżni, każdego skrawka miejsca. I dlatego było tu głucho i matowo, jak w składzie mebli.

Pokoik był w dodatku podzielony na sypialnię i na salon szafą i parawanem. Kapą nakryty stół na środku, dwa krzesła naprzeciw siebie, twarda, wąska kanapka z oparciem pod oknem — to była część oficjalna. Tu odbywały się lekcje.

W sypialni natomiast za szafą i parawanem panował mrok i tajemniczość. Łóżko nakryte kapą z frendzlami, piętrzyło się od bielejących w półcieniu poduszek o szydełkowych wstawkach, cały zaś kąt ściany wyścielał stary, brązowo-wiśniowy kilimek. A na tym kilimku było wszystko! Czarny krucyfiks, święte obrazy i rodzinne fotografie, gromnica i kropielniczka, ślubny welon pani Tamskiej pod szkłem, święcona palma i różaniec z Ziemi Świętej z zeschłych eukaliptusowych bobków. Mój Boże! Cały świat wrażeń i zachwytów, niezgłębione nigdy do dna, niewyczerpane nagromadzenie rzeczy „ciekawych" i obcych, którym tylko z daleka wolno mi się było przyglądać i które dzięki temu nigdy nie spowszedniały.

Do tego to jedynego w swoim rodzaju wnętrza zabierała mnie ze sobą Mademoiselle. Brała mnie, przypuszczam, dlatego głównie, że mnie nie miała z kim zostawić, Marysia nie była, jej zdaniem, odpowiednią opieką; wiedziała zresztą, że ma ona i tak dość roboty z pilnowaniem trzyletnich pomysłowości Karola. Ze mną nie było kłopotu. Dostawałam otarty z kurzu tom jakiegoś ilustrowanego czasopisma i przestawałam istnieć.

Pani Tamska była od Mademoiselle o mnóstwo lat starsza i mówiła jej „Sylvie". Zawsze miały jakieś niesłychanie ważne sprawy do omówienia. Pani Tamska była do najdrobniejszych szczegółów wtajemniczona w życie naszego, na oczy nie widzianego, domu. Znała imiona służących, ich wady i zalety. Wiedziała, że pokój Mademoiselle jest w zimie trudny do opalenia, że ja mam skłonność do katarów, a Karol do wysypek. Jestem głęboko przekonana, że o moim ojcu wiedziała więcej, niż ja. (I o mamie też na pewno!). Każdy otrzymany z Francji list musiał być zaraz przeczytany wspólnie. Żadna przeróbka kapelusza Mademoiselle nie odbyła się bez rady pani Tamskiej. Pożyczały sobie wzajemnie książki, nudne, bo bez obrazków i często mówiły o tym, co której szkodzi. Dużo zwłaszcza było o wątrobie pani Tamskiej. Pamiętam, że Mademoiselle kupowała zawsze w jednym i tym samym sklepie jeden i ten sam gatunek sucharków, bo pani Tamska sama rzadko wychodziła, chyba w niedzielę, do klasztornej kaplicy. Ważne też były imieniny. Obie się przy nich wzruszały i dziwiły, że druga pamięta. Zawsze którąś którejś musiała coś ofiarować. Stąd ta sówka przerobiona na brelok z kolczyka. Drugi kolczyk z tej pary osiadł w pierścionku, na małym palcu pięknego, brylantyną pachnącego Edmunda.

Edmund był krewnym pani Tamskiej, synem jej młodo zmarłej siostrzenicy czy kuzynki. Z pochodzenia więc był Francuzem. Począwszy od szkół, a skończywszy na owej francuszczyźnie, którą się tak lubił popisywać w sklepie, wszystko zawdzięczał ciotce. Słyszałam to mnóstwo razy od Mademoiselle. Posadę w dziale perfumerii otrzymał także dzięki jej stosunkom, bo właścicielka drogerii była ongiś uczennicą pani Tamskiej. W zasłyszanych urywkach toczących się tu rozmów, wyłapałam jednak prędko nutę pewnej troski i krytyki w stosunku do pięknego Edmunda. Nie wiem, co pani Tamska miała mu do zarzucenia, dość, że nieraz, głośno o nim zaczęta rozmowa, kończyła się w zimie szeptem za parawanem, w lecie wyprawieniem mnie na ganek. Nie byłam tym wcale dotknięta. Rzadko kiedy to, co mówili starsi było zabawne. Wolałam patrzeć, niż słuchać.

Pani Tamska miała twarz gruszkowatą, która jej cała spłynęła jakby w usta. A mimo tego uśmiech jej był zawsze miłą, zaraźliwą niespodzianką. Oczy miała uważne, łagodne, bez brwi, o dużych tęczówkach, oczy, które przy uśmiechu robiły się porozumiewawcze i przyjacielskie. Nic a nic nie bałam się pani Tamskiej. Głos miała niski, trochę zardzewiały i często chciałam, aby odchrząknęła. Nade wszystko jednak interesowała mnie jej duża brodawka na policzku, brodawka, trzymająca się zwiędłej skóry mocno i sprężyście, jak galasówka dębowego liścia. Pani Tamska ubierała się zawsze ciemno. Na szyi nosiła białą, tiulową wsadzkę na rogach, których przejrzyste płytki widziałam dobrze przez tiul. Męczyło mnie tylko, że płytki te wrzynały się jej głęboko w zwisłe fałdy podgardla. Myślałam zawsze, że ją to strasznie gniecie.

Pani Tamska nie zadawała mi żadnych głupich pytań, nie wmawiała we mnie, że jestem na pewno grzeczną dziewczynką, nie uznawała żadnych nieszczerze radosnych pochwał za byle co. Traktowała mnie jak człowieka. Dziecko umie to dobrze cenić. I dlatego lubiłam panią Tamską.

Musiały ją także lubić jej uczennice. Często mówiła, że jej ta czy owa przyniosła kwiaty, lub cukierki. Robiło jej to widocznie przyjemność, choć cukierków nie jadała. Zbierała za to kartki korespondencyjne z obrazkami. Miała ich pełne pudło. Były tam piękne panie z bukietem robionych kwiatów na brzozowej ławeczce, czy przy sztucznym płotku. Były wygniatane na wypukło, zjadliwie kolorowe róże, trochę widoczków, trochę dzwonów, kurcząt i baziek, trochę świerczyny i świeczek. Widocznie przy rozmaitych okazjach w roku pamiętały o niej poczciwie, te jej rozmaite uczennice, wbiegające o różnych porach dnia, na wysokie klasztorne piętro.

Tak poznałam Malwinę.

Wpadła zaśpieszona, w białym berecie z pomponem, i w różowej bluzce. Spiekła różowego raka, dygnęła, powiedziała „całuję rączki" i stanęła niepewna, czy będzie wobec wizyty lekcja. W ręce trząsł się jej rozkołysany drobnymi kwiatami bukiet biało-różowych, pomponikowych georginii. I to już przepadło! Na zawsze. Od pierwszej chwili Malwina zrosła mi się z owym jędrnym, jak ona sama, roztrzepanym, jak ona sama i jak ona sama różowym bukietem. Ten pompon, ta krągła od piersi różowa bluzka, ten rumieniec, ten dyg. Przepadło. Pomponikowa Malwina!

Należała pono do najpilniejszych, ale i do najtępszych uczennic pani Tamskiej. Akcent jej doprowadzał ją zawsze do desperacji. Mnie osobiście nic to nie szkodziło. Malwina była kolorowa! Miała jasne, wijące się nad karkiem włosy i tak zabawnie przerażone oczy, kiedy buchały na nią o byle co, te jej georginiowe rumieńce! Kiedy mnie witała, czy żegnała w przelocie, czułam na twarzy ciepły powiew jej szybkich, roztrzepanych ruchów. Wydawało mi się wtedy, że pachnie owocami i bułką. Od pierwszej chwili bardzo polubiłam Malwinę, ale zaprzyjaźniłam się z nią dopiero w czasie choroby Karola.

Kiedy mały, pod nieobecność ojca w dodatku, dostał szkarlatyny, przerażona Mademoiselle porwała mnie jak psiaka za skórę i podrzuciła pani Tamskiej! Na parę tygodni, do czasu dezynfekcji i kąpieli małego! Uważam, że to było nieludzkie!! W tę ciasnotę, w ten zawalony gratami pokoik, wetknąć komuś, w zimie do tego, dziecko i jeszcze jedną walizkę! Były tam jakieś układy z zakonnicami, jakaś donajęta, klasztorna służka, która przychodziła rano umyć mnie i pozapinać, były jakieś łamane sztuki z przywożonym w menażkach jedzeniem, ale cóż mnie to mogło obchodzić? Po bardzo krótkiej chwili strachu, że nie będzie blisko Mademoiselle, dałam się przekupić cudownej inności świata, który mnie oto wchłaniał.

Twardą sofkę, na której sypiałam, odciągało się na noc na środek pokoju, bo okno bywało rano na głucho zakute mrozem. Okna w głębokich murach zawsze tak biało zamarzają. Dlatego też i wazonki zestawiało się na noc na podłogę.

Bardzo lubiłam tam usypiać. Pani Tamska, bez tiulowej obroży na szyi, zawinięta w włochaty szlafrok koloru śliwkowego kompotu, zasiadała przy niskiej, naftowej lampie. Wiedziałam, że usnę, nim skończy czytać. Świadomość ta dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Zawsze bałam się chwili gaszenia naftowej lampy. W dudniącym szkiełku płomień bronił się śmierci, jak oszalała ćma i nie wiem czego właściwie bałam się bardziej: śmierci tej ćmy, czy ciemności potem? Tu mi to nie groziło. W ogóle było cudownie! Koc powtykany ciasno w szpary zastawionej krzesłami sofki, trzymał się i nie zjeżdżał. Pod obrzeżem umbry wisiał od mojej strony kawałek papieru, aby mi światło nie przeszkadzało spać. Była to także pora, kiedy nareszcie dochodził do głosu stojący na komodze zegar. Tak i tak, tak i tak, tykał sobie dźwięcznie i cichutko. Zdawało mi się zawsze, że on to rzęsami robi. Próbowałam mu czasem nadążyć, ale nigdy nie mogłam długo. Długie mruganie w takt, wcale nie jest łatwe. Ciepły krąg przylepłego do sufitu światła żył jakimś swoim własnym życiem. Widziałam w nim płynne, dyszące migoty, galaretowatych mgieł i plam.

Beata Obertyńska

(Dokończenie w następnym numerze)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Czy Rok Święty w 1954 roku? W roku przyszłym przypada 100-lecie ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marii Panny. We wszystkich krajach odbędą się uroczyste obchody i rocznice i dlatego krążą pogłoski, że Ojciec św. ogłosi nadzwyczajny Rok Święty.

List Papieża do Episkopatu prowincji westminsterskiej. Z okazji Wystawy Powołań w Olympii w Londynie Ojciec św. zwrócił się z listem do kardynała Griffina i biskupów prowincji westminsterskiej. Papież wspomina pokrótce o stałych usiłowaniach Papieży i Soborów zapewnienia Kościołowi świętych i uczonych kapłanów i o swej encyklice „Menti Nostrae" jako o wyrazie swych gorących pragnień i nadziei na uzyskanie i w dzisiejszych czasach wielu i świętych kapłanów. Ażeby jednak te pragnienia ziściły się, potrzeba zjednoczonych wysiłków wszystkich w celu budzenia powołań. Matki i ojcowie powinni podtrzymywać w rodzinie przeświadczenie, że dla nich nie może być większego przywileju i zaszczytu, jak mieć syna kapłana, ofiarującego Ojcu Przedwiecznemu ofiarę Golgoty. Papież podkreśla następnie obowiązki w tym względzie duchowieństwa, nauczycieli katolickich, zakonników i zakonnic uczących w szkołach, tym bardziej, że zakony i zgromadzenia zakonne stoją także przed brakiem powołań w ilości wystarczającej do wypełnienia wzrastających zadań.

Troska w Anglii o późne powołania. Dla mężczyzn, którzy w późniejszym wieku pragną zostać księżmi, istnieje w Anglii, jak i w innych krajach, możliwość rozpoczęcia kontynuowania potrzebnych studiów. Kandydaci odbywają najpierw w Campion House, Osterley dwuletnie studia języków łacińskiego, greckiego, francuskiego i angielskiego, wymowy i muzyki kościelnej. Następnie kierowani są do diecezjalnych seminariów w Anglii lub innych, między nimi do seminarium Beda w Rzymie. W tym seminarium zamiast 6 lat studia teologiczne trwają tylko 4 lata. W ten sposób od roku 1919 1.480 mężczyzn w wieku od 18 do 48 rozpoczęło studia teologiczne; z liczby tej księżmi zostało już 571, a 200 odbywa studia; 709 zrezygnowało.

Zmiana taktyki komunistów na Węgrzech. W związku z ostatnim „złagodzeniem" kursu na Węgrzech Douglas Hyde pisze na łamach „The Catholic Herald", że deklaracja nowych władz węgierskich o nietolerowaniu w przyszłości użycia siły w sprawach religii wskazuje, że zarówno na Węgrzech, jak i w Polsce i gdzie indziej użycie siły okazało się najmniej skuteczną bronią w walce z Kościołem. Zmianę obecną należy uważać jednak tylko za zmianę taktyki, a na dowód tego Hyde cytuje zdanie Lenina, wypowiedziane w październiku 1921 r.: „Na wiosnę 1921 stało się jasne, że ponieśliśmy klęskę w naszych usiłowaniach zastosowania zasad socjalistycznych produkcji i podziału taktyką „uderzenia wprost" to jest najkrótszą, najszybszą i najprostszą drogą. Sytuacja polityczna na wiosnę 1921 ujawniła nam, że... zastąpienie uderzenia wprost taktyką „oblężenia" jest nieuniknione".

Audiencja japońskiego następcy tronu. 6 lipca Papież przyjął w prywatnej swej bibliotece na uroczystej audiencji następcę tronu japońskiego, księcia Akihito. Książę wyraził Ojcu św. pozdrowienie cesarza Japonii i swą radość ze zwiedzenia Rzymu. Ojciec św. dziękując za wyrażone w imieniu cesarza uczucia, złożył życzenia wszelkiej pomyślności dla księcia następcy tronu, dla cesarza i całego narodu japońskiego; trosce cesarza polecił katolików japońskich.

MIECZYSŁAW LURCZYŃSKI (Tlemcen)

MANSOURAH

Z RYSUNKAMI AUTORA

„...wyruszyliśmy o poranku, a zwycięstwo płynęło przed nami ze sztandarami szczęścia rozwijającymi się na kształt chmur.“

Abou Hammou

Wiosną 1299 roku władca Marokka, sułtan merinidzki Abou Yaqoub Yousof, na czele wielkiej armii składającej się głównie z konnicy, stanął pod murami Tlemcen, zamierzając poprzez zdobycie stolicy zniszczyć państwo Abou Zaijan'a, zajmujące mniej więcej obszar zachodni współczesnego Algieru.

Brązowe i czarne namioty wojska króla Fezu pokryły wszystkie okoliczne wzgórza. Nieprzyjaciel zabrał ze sobą również swych sprzymierzeńców, plemiona koczownicze, których bydło, konie, wielbłądy stratowały uprawne pola, otaczające miasto szeroką wstęgą. Wycięto drzewa owocowe, by z nich uczynić palisady i budować maszyny oblężnicze przeciwko murom Tlemcen. Zaczęło się oblężenie, mające trwać osiem lat i trzy miesiące, oblężenie, które w skutku miało przynieść... dzisiejsze ruiny Mansourah.

Wokół murów obronnych miasta zbudowano cały system nowych obmurowań, wyglądających (jak pisze kronikarz arabski Ibn Khaldoun) niby halo wokół księżyca. „Nawet duch lub istota niewidzialna miały by trudność w dostaniu się do miasta“ — stwierdza dalej Ibn Khaldoun, którego nazwiskiem wdzięczny Tlemcen ochrzcił później jedną ze swych ulic. Ponieważ środki defensywne średniowiecza były potężniejsze od środków ofensywnych, chciano wziąć miasto głodem. Istotnie, mieszkańcy Tlemcen w czasie wieloletniego oblężenia, spożywszy wszystkie niemal zapasy zboża znajdującego się w silosach, zaczęli jeść padlinę, koty, szczury, nawet bodaj i mięso ludzkie, jak upewnia wyżej wspomniany kronikarz.



Ruina minaretu w Mansourah

Podczas gdy Tlemcen cierpiał od głodu i od wygórowanych cen „czarnego rynku“, podczas gdy ludzie padali na ulicach tysiącami, obóz nieprzyjacielski pęczniał od nadmiaru. Z niepojętą szybkością, w najbliższej odległości od Tlemcenu zaczęło rosnąć nowe obszerne miasto, skupiając w swym obrębie wszystkie interesy, kontakty i dobrodziejstwa, które do tej pory były udziałem Tlemcen. Miasto owo, przez króla Fezu nazwane Mansourah — Zwycięska, otoczone zostało murami, ustrojonymi w czworokątne ciężkie wieże, wybudowało swe karawanseraje, domy bogate, wielki meczet, pałac królewski, targ. Do miasta tego zaczęli zjeżdżać kupcy, będący ongiś bywalcami Tlemcenu. Widziało ono również wjazdy ambasadorów, ze wszystkich stron świata muzułmańskiego, zdążających celem zacieśnienia przyjaznych stosunków z poważnym władcą Marokka i Algieru. Władca Egiptu. Mamlouk, nadesłał w podarunku słonie i żyrafy, inny ambasador przywiózł dla potężnego pana Maghrebu szaty cięte ze świętej zasłony w Mekce.

Dni królestwa Tlemcenu zdawały się policzone. Sułtan Abou Zaijan oraz brat jego Abou Hammou, po obliczeniu zapasu w silosach i stwierdzeniu, iż zboża wystarczy najwyżej na dwa dni, zdecydowani już byli poderżnąć gardła wszystkim odaliskom swych serajów, potem zaś zrobić niespodziewany wypad na nieprzyjaciela, aby pełną chwały śmiercią zakończyć działania wojenne, gdy nagle z obozu Merinidów pojawił się poseł z propozycjami układów. Okazało się, że władca Maghrebu Abou Yaqoub Yousof zmarł nagle, a wnuk jego, pełen obaw co do swej przyszłości, proponował pokój. Królestwo Tlemcenu zostało, na czas niedługi zresztą, ocalone. Wkrótce świetnie zapowiadające się miasto Mansourah zostało opuszczone przez najeźdźcę.

Dziś są tam tylko ruiny. Jedzie się do Mansourah drogą na Fez, starym szlakiem najeźdźców. Szosa prowadzi wśród pól o kolorze kakao zmieszanego z pieprzem tureckim. Na tym jaskrawym tle jaskrawa zieleń palm, dębów specjalnego gatunku, wielkich rozłożystych liści figowców i małych o srebrnym odcieniu oliwek, tworzy charakter pejzażu, zawierającego w sobie elementy odmienne od tych, jakie przyzwyczailiśmy się oglądać w Europie.

Gdy przystaję na jednym z pogórzy widzę, wśród masy zieleni, szerokie grzbiety jakichś mitycznych mastodontów, wydobywające się ciężko z poplątanej otchłani listowia. Grzbiety te są koloru zaschłej krwi, ciemne, o przebłyskach czerwieni. Patrzę na pierwsze prostokąty wież murów zewnętrznych Mansourah. Czas je zdeformował, pozbawił drapieżności wyglądu, odarł z zębatych zakończeń. Ciągną się przed mymi oczami zanikającym tu i ówdzie wśród pól łańcuchem, przywodząc na myśl czerwone wieże i mury Granady, wężem spływające daleko za wzgórza Albaycinu.

Wreszcie wielki napis „Mansourah“. Wysiadam z auta. Trzeba iść w dół, ścieżką obsadzoną baniastymi formami palm. Okolica sfalowana przedstawia widok nieledwie swojski. Żniwa skończyły się i pola stoją w złocie rżysk. W dalekich od siebie odstępach trwają nieruchomo figowce i oliwki, krzywizną postaci przypominając nasze grusze polne.

Wokół siebie mam opłotki porozwalane iście po kielecku. Ptaki śpiewają wśród gałęzi drzew. Pachnie obornik przygotowany do rozrzucenia. W powierzu panuje świąteczna cisza niedzielnego poobiedzia. Gdyby nie jaskrawa czerwień ziemi, można by na chwilę ulec złudzeniu, iż jest się w czas upalnego sierpnia u znajomych w Opoczyńskim i że ma się w perspektywie na kolacje nie wykrwawioną całkiem baraninę (muzułmanie uprawiają ubój rytualny), kus-kus i owoce zwane „nefles“ a zsiadłe, zimne mleko i chleb razowy.

Istotnie, okolica zdaje się być zaczarowana. Z daleka dobiega głos ligawki pastuszej, której kilka ubogich fraz swojsko brzmi w uszach. A w błękicie nieba odkrywam, daleko bardzo, krążące w powietrzu bociany, których tu, jak i w Polsce, nikt nie ośmiela się zabijać. Z drzewa na drzewo, ukazując swe jaskrawe upierzenie, przelatuje ptak podobny do dudka. Robi mi się gorzko na duszy za te żarty Tytanii, posunięte zbyt daleko.

Dochodzę wreszcie do podstaw wieży, stanowiącej minaret nieistniejącego meczetu. Potężna budowla, wysoka na czterdzieści metrów, piętrzy się przede mną zwałami czerwonej cegły. Tylna część wieży obsunęła się całkiem, szczęściem przód (prócz szczytu) trwa nienaruszony i można przyjrzeć się dokładnie konstrukcji i stylowi budowli.



„Café du Palmier“, dzielnica tubylcza w Tlemcen

Wiele szczegółów w jej dekoracji ściennej, jak również i momentów czysto architektonicznych przypomina mi sławną Giraldę Sewilli. Tam jak i tu rodzaj rampy wznoszącej się łagodnie pozwalał jeźdźcom dotrzeć aż na szczyt minaretu. Typowe w kształcie podkowy, tyle że ogromnych rozmiarów, wejście wiodące do wnętrza, prowadzi wprost na pole, bowiem cały niemal meczet został zniszczony w czasie ubiegłych wieków.

Animozja żydowsko-arabska znajduje ujście swe w legendzie tłumaczącej powód upadku połowy wieży. Sułtan marokański, chcąc jak najszybciej posiadać meczet w Mansourah, powierzył budowę minaretu dwu architektom — żydowi i mahometaninowi. Każdy z nich zbudował przeznaczoną mu połowę wieży. Otóż część zbudowana przez żyda osunęła się na ziemię, ta — zbudowana przez muzułmanina trwa do dziś.

Nad potężną wieżą minaretu zdaje się panować nie Allah a rzeczpospolita ptasia. Szczyt wieży opanowało kilka rodzin bocianich, środek jej dzierżą liczne stada gołębie, wreszcie dół stał się bezsporną własnością szarego bractwa wróbli i śmieciuszek. Gdym oddalał się od wieży, suchy klekot bociani, donośny w ciszy dnia, jeszcze raz przypomniał mi strony ojczyste.

Reszta zabytków Mansourah stanowi może pomnik kultury arabskiej bardzo ciekawy dla badacza specjalisty, dla przeciętnego jednak śmiertelnika są to typowe obronne mury średniowiecza, ciągnące się na ogromnej przestrzeni, gdzieniegdzie znikające całkiem pod siłą afrykańskiej roślinności. Co zaś tyczy się dumnego miasta, oglądającego kiedyś wjazdy wspaniałe ambasadorów, nie istnieje ono już wcale. Organizacje państwowe Almorawidów, Almohadów, Merenitów czy Zenatów były jak trąby powietrzne pustyni. Powstawały z niesłychaną szybkością, rozwijały się, tworzyły, aby jeszcze szybciej rozpaść się, zgasnąć i zaniknąć. Tak widać chciał Allah, patrząc na ruiny z fatalistyczną obojętnością mówi dziś muzułmanin.

Mieczysław Lurczyński

NOWE FILMY

Przeciętność i maniera dokumentarna

Po resyserze tej klasy, co Elia Kazan, który ma w swym dorobku dzieła sztuki filmowej dużej klasy, np. **Boomerang, A Streetcar Named Desire,** czy **Viva Zapata!,** należy spodziewać się rzeczy tylko najlepszych. I dlatego, ale tylko dlatego, obraz **Man on a Tightrope** trochę mnie rozczarował. Jest to ubrana w szaty fikcyjnych wątków historia prawdziwa, którą niejeden z naszych czytelników pamięta. Jakieś dwa lata temu ze wschodnich Niemiec do zachodnich uciekł cyrk — niewielki, ale za to kompletny: lwy, słonie, akrobaci, klowni wraz z namiotami i wozami mieszkalnymi. To wydarzenie natchnęło Neila Patersona do napisania powieści, a powieść posłużyła Robertowi Sherwood jako materiał do niezłego scenariusza. Sherwood i Kazan przenieśli akcję z Niemiec do Czechosłowacji i sfilmowali rzecz w pięknej Bawarii.

Główną rolę, właściciela cyrku, zagrał Fredric March. Jak zwykle, stworzył on kreację, którą warto obejrzeć. Krytyka angielska zgodnym chórem okrzyczała jego grę jako przesadną, a film uznała za niezbyt udaną propagadę antysowiecką, w sposób tendencyjny przedstawiającą napięcie i natężenie komunistycznego terroru. Stwierdzić jednak należy, że właśnie o propagandzie w filmie tym nie ma mowy. Zahukany, przestraszony, próbujący się wydrzeć spomiędzy trybów komunistycznej maszyny politycznej właściciel cyrku, właściciel a więc „kapitalistyczna pijawka“, mogąca się spodziewać rychłej „sprawiedliwości“ z rąk „ludu“, zaszczuty człowiek nie pragnący już niczego tylko spokoju — oto pełna życia, doskonale zrozumiana kreacja Marcha.

Obok Marcha wyróżniają się Adolph Menjou jako agent tajnej policji i Gloria Grahame w roli żony właściciela cyrku, kobiety mało wartościowej, ale stojącej na wysokości zadania w chwili niebezpieczeństwa. Najpiękniejsza sekwencja filmu, to pyszne zdjęcia młodej pary, pływającej w spienionej górskiej rzece. Zdjęć tych dokonano nad piękną Izarą. Nawiasem należy wspomnieć, że do sfilmowania „Man on a Tightrope“ zaangażowano właśnie ten cyrk, którego ucieczka stała się tematem scenariusza. Najsłabszy aktorsko jest Brytyjczyk Robert Beaty. Należy żałować, że kilka sztanc, parę sztucznych efektów i ideologicznych banałów psuje ten skąd inąd bardzo dobry film.

Prawdziwym zawodem były dwa filmy angielskie, **Malta Story i The Square Ring.** W obydwóch aż się roi od wielkich nazwisk brytyjskiej kinematografii. W „Historii Malty“ obok wielkiego Alec Guinnessa zobaczyliśmy znakomitą aktorkę Florę Robson i dobrego Jacka Hawkinsa. Niestety film ten obrazujący walkę o utrzymanie poważnie zagrożonej Malty w czasie drugiej wojny światowej, bardzo ucierpiał od najnowszej manii Anglików — dokumentarności. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że film składający się wyłącznie z autentycznych zdjęć zrobiony na Malcie w czasie wojny, byłby dokumentem ciekawym, może nawet wstrząsającym. Nam, Polakom, trudno byłoby, co prawda, zaimponować. Próba pokazania całości wysiłku wojennego Malty przez splecenie kilkunastu wątków, obejmujących żołnierzy wszystkich szarż i broni i cywilów we wszystkich możliwych sytuacjach, musiała skończyć się niepowodzeniem. Dobrze by było, gdyby angielscy autorzy scenariuszy i reżyserowie filmowi poczytali sobie czasem poetykę Arystotelesa i wyciągnęli konsekwencje z reguły trzech jedności. Ta starożytna konwencja, obok wielu niedogodności, miała tę zaletę, że zmuszała do koncentracji na jednym człowieku. A jeden człowiek jest, jak wiemy, istotą dostatecznie złożoną, by przez całe życie nie dać się poznać.

Poważną, bo irytującą wadą „Historii Malty“ jest niedbałość, z jaką wmontowano zdjęcia dokonane w studio w sekwencje, zawierające autentyczne zdjęcia z Malty.

The Square Ring jest bardzo spóźnioną reakcją angielską na dwa świetne filmy amerykańskie o tematyce, zaczerpniętej ze świata zawodowego boksu. Były to obrazy **„The Champion“ i „The Set-up“.** „The Square Ring“ nie ma jednak impetu swych poprzedników. Zajmuje się, co prawda, ciemnymi stronami tego nowoczesnego gladiatorstwa, ale brak mu demaskatorskiej pasji, brak mu sił do wskazania i napiętnowania zła. I nieszczęsna dokumentarność znowu uniemożliwiła scenarzyście zapuszczenie się głębiej w ludzką duszę. Film pokazuje historię kilku bokserów i jeszcze kilku ludzi, ślizga się po powierzchni i może dlatego momenty tragiczne przechodzą w melodramat, a komiczne w farsę. Wśród całego tłumu aktorów wymienić wypada Roberta Beatty, Joan Collins, Maxwella Reed, Jacka Warmera i Bernadette O'Farrell.

Jeszcze jednym przykładem angielskiej dokumentomanii był obraz **Turn the Key Softly.** Pokazuje on trzy kobiety, które tego samego dnia wychodzą z więzienia. Pomysł filmu jest więc dobry: nagłe zderzenie więźnia z wolnością. Ale już po paru minutach widz wie, że widzi jeszcze jeden „dreszczowiec“. Dobre zdjęcia, wartka akcja i poprawny montaż nie usprawiedliwiają jednak rozmazanej psychologii postaci i niemożliwych sytuacji. Uwagę zwróciło kilka pysznych zdjęć ulic Londynu. Dzięki temu widz odnosił chwilami niezwykłe (i niezamierzone) wrażenie, że nieprawdziwi ludzie, stojący wobec nieprawdziwych problemów, żyją w najprawdziwszym Londynie. W głównych rolach grały Joan Collins, Yvonne Mitchell i Kathleen Harrison.

Honor kinematografii został jednak uratowany komedią **Genevieve.** Tematem jej jest wydarzenie typowo angielskie: doroczny wyścig do Brighton samochodów, wyprodukowanych nie wcześniej niż bodaj w ostatnim roku pierwszej wojny światowej. Samochody te, nazywane tutaj „vintage cars“, cieszą się czułą opieką pokaźnej grupy fanatyków, zrzeszonych w specjalnym klubie. Wyreżyserowana przez Henry Corneliusa, według scenariusza Williama Rose, „Genevieve“, nie jest arcydziełem, ale jej lekkość, jej angielski humor, bogaty w „understatement“, są warte pieniędzy wydanych na bilet. Wesołe przygody dwóch przyjaciół, gotowych wyrządzać sobie wszelkie złośliwości, byle tylko wygrać wyścig, okraszone są urodą Dianah Sheridan i Kay Kendall i ślicznymi krajobrazami Kentu, sfotografowanymi w świetnym technikolorze.Kenneth More stworzył dobrą kreację jako zabawny, trochę lekkomyślny przedstawiciel „upper middle class“ — „starannie“ wykształcony, zapewne w jakiejś dobrej „public school“, potem w Oxford, na ciepłej posadce i z małym, ale ciągle odświeżanym kontem w banku.

Fabryka snów w Hollywood, przestawiająca się obecnie na produkcję snów a częściej majaczeń trójwymiarowych i „panoramicznych“, nie wykazuje, by ostatnie wstrząsy gospodarcze miały wpłynąć na podniesienie poziomu jej dzieł. Zarówno filmy „3D“ jak i „1D“, czyli — jak się teraz mówi „flatties“ są ostatnio dość słabe.

Trouble Along the Way, trzeci w ciągu bieżącego roku film braci Warner na tematy związane z katolicyzmem, to banalna historyjka o byłym zawodowym sportowcu, cyniku rozczarowanym do świata i ludzi, kochającym jedynie swą małą, ale cwaną córeczkę. Sportowca angażuje ksiądz (Charles Coburn) — rektor małego katolickiego uniwersytetu w Ameryce — celem stworzenia dobrej drużyny piłkarskiej, której sukcesy sportowe przyniosłyby dochód, konieczny do uratowania uniwersytetu przed ruiną. Nowy „coach“ czyli trener (John Weayne) zabiera się do rzeczy z energią. Nie zawaha się użyć perswazji zalatującej szantażem, aby nabyć sprzęt sportowy na kredyt, po czym przystępuje do rekrutacji graczy w piłkę. Zbiera półzawodowców z całej Ameryki, fałszuje ich dane o odbytych studiach i stwarza doskonałą drużynę. Ale ksiądz rektor wykrywa fałszerstwo i rozpędza bractwo na cztery wiatry.

Filmowi temu zarzucono, że nieco niepoważnie przedstawił postać księdza rektora, który dał się nabrać. Zanim się zbada słuszność tego zarzutu, trzeba jednak przypomnieć sobie stosunki, jakie panują w uniwersyteckim świecie sportowym w Stanach Zjednoczonych. Przede wszystkim sprowadzanie zawodowych lub półzawodowych graczy jest procedurą szeroko uprawianą i nieuniknioną, jako że wiele uniwersytetów, szczególnie małych, w swych drużynach sportowych ma jedyne źródło dochodów.Ponadto trzeba pamiętać, że amerykańskie uniwersytety mają specjalne stypendia dla swych wybitnych sportowców, co wielu młodym ludziom umożliwia odbycie studiów, tym bardziej, że opłaty w Ameryce, są w porównaniu z Europą, niezmiernie wysokie.

Przedstawione w filmie „Trouble Along the Way“ oszustwo, którego ofiarą pada ksiądz rektor i jego uniwersytet, jest niewątpliwie oszustwem, ale niestety zwyczajowym, powszechnie uprawianą procedurą, podlegającą prawom niepisanej umowy.

Tonight We Sing to muzyczna biografia znanego bogatego impresaria amerykańskiego, Huroka. Główną rolę gra David Wyne. Właściwie nie warto byłoby zajmować się tym „dziełem“, gdyby nie wstawki muzyczne. Ezio Pinza w roli Szaliapina był aktorsko najlepszy, ale głosem nie dorównywa swemu arcywzorowi. Tamara Toumanowa jest na pewno nie tak wielką tancerką jak Pawłowa, ale drugi akt „Jeziora łabędziego“ zatańczyła z rzadko widywaną maestrią. Każda sekwencja baletowa jakiegokolwiek filmu muzycznego upewnia mnie w przekonaniu, że film jest medium, które doskonale się nadaje do pokazywania baletu w skrótach i zbliżeniach, nieosiągalnych w teatrze. Muzyka tego filmu składała się z kompozycji Chopina, Gounoda, Wieniawskiego i in.

Mówiąc o ostatnim filmie rysunkowym Disney'a znowu muszę podkreślić, że nie zgadzam się z opinią większości krytyki angielskiej, która uznała **Peter Pana** za rzecz chybioną. Nie ulega wątpliwości, że swym filmem Disney daleko odszedł od oryginału Sir Jamesa Barrie. Trudno jednak odmówić mu prawa dowolnej interpretacji. Disney jest twórcą nowoczesnego folkloru i rzeczywistość oraz dzieła innych artystów przepuszcza przez pryzmat własnego, twórczego sposobu widzenia. Możliwości Disneya są na pewno ograniczone, ale w ich granicach ręka artysty jest prawie nieomylna. Nic nie szkodzi, że jego „Peter Pan“ nie zachował wiktoriańskiego posmaczku, skoro posmaczek ów jest nieprzyjemny, a dla wielu zgoła nieznośny, skoro stworzył takie postacie jak wspaniały, majestatyczny wódz Indian, komiczny krokodyl, czy Tinker Bell. Są to postacie wyczarowane z mgieł dzieciństwa, są to wspomnienia zaklęte w realne kształty. Wyświetlanie „Piotrusia Pana“ trwa 77 minut: jest to 77 minut radości i godziwej zabawy.

Razem z „Peter Panem“ pokazano inny film Disneya, **Nature'e Half Acre.** I to dzieło błyszczy wielkością swego twórcy. Kto widział i pamięta „Wyspę fok“ i „Dolinę bobrów“, wie, czego może spodziewać się w tym nowym majstersztyku. Zmontowany ze zdjęć dokonanych w lasach, na łąkach i nad jeziorami, zaopatrzony w doskonały komentarz, film ten zostawia niezatarte wrażenie i należy do tych nielicznych dzieł, które można oglądać wielokrotnie z nigdy nie słabnącym zainteresowaniem i przyjemnością.

Wypada powiedzieć jeszcze kilka słów o filmowym sprawozdaniu z koronacji pt. **A Queen Is Crowned.** Jest to pełnometrażowy film dokumentarny w technikolorze. Furorę zrobił w Ameryce, gdzie po raz pierwszy od chwili, gdy telewizja stała się problemem socjalnym, przed kinami ukazały się kilometrowe ogonki. Zdjęcia, składające się na ten film są bardzo dobre, a chwilami doskonałe. Niestety montaż pozostawia wiele do życzenia. Pewnym usprawiedliwieniem jest to, że film ten został pokazany po raz pierwszy już na trzeci dzień po koronacji. Komentarz napisany przez Christophera Fry, a mówiony przez Sir Laurence Oliviera, chwilami razi niewłaściwie brzmiącym patosem. Najlepiej wypadły sekwencje pokazujące samą koronację wewnątrz Westminster Abbey, najgorsze — z parady wojskowej. Polacy zrobiliby na odwrót.

Na zakończenie słów kilka o **Salome.** Magnaci Hollywoodu wykryli, że na filmach o tematyce biblijnej robi się pieniądze szybko i bez ryzyka. Dlatego też możemy się spodziewać teraz całej serii takich filmów, podobno już gotowych i czekających na chwilę aż producenci rzucą je na rynek. „Salome“ jest jedną z pierwszych jaskółek. Jest to film w najwyższym stopniu niemoralny. Jego twórcy liczyli na to, że zwracając się do uczuć religijnych z jednej strony, a z drugiej do apetytów seksualnych, najłatwiej skłonią widza do zostawienia paru szylingów w kasie kina. Dreszczów dostarcza Rita Hayworth jako Salome, szczególnie w tańcu siedmiu welonów. Aktorskich zdolności ta, przyznać trzeba, urodziwa kobieta, nie posiada. Stewart Granger robi wrażenie, jak by się nudził śmiertelnie przez cały czas trwania filmu. Poncjusz Piłat, Rzymianin, otulony w prześcieradło, mówi w pewnym momencie: „Sorry Klodius“ (tzn. Claudius), co brzmi przekomicznie. Charles Laughton jako król Herod odbija na tym tle już nie jako wielki aktor, ale wprost gigant. Kilka jego zagrań i ze dwie, trzy sceny, to jedyne rodzynki w tym niemoralnym zakalcu.

„Salome“ reżyserował William Dieterle, twórca tak wielkich dzieł, jak „Louis Pasteur“, „Emile Zola“ i „All That Money Can Buy“. „Salome“, to najgłębszy upadek jego sztuki.

(Sp.)

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY
NIEDZIELA, 26 lipca 1953 r.

JAN WEPSIĘĆ

BIBLIOTEKA KONGRESU STANÓW ZJEDNOCZONYCH A.P.

Tak często czasy nam współczesne nazywa się wiekiem techniki; tak często mówi się o postępie techniki w jej różnych formach. Ale równocześnie nie dostrzega się wzrostu bibliotek i metod udostępniania książki, choć wiedza, technika i biblioteki, to czynniki w pewnym sensie współzależne. Ten rozmach w produkcji książek i rozwoju bibliotek dostrzega się, gdy się sięgnie do rejestrów prowadzonych przez biura, czy urzędy ochrony praw autorskich, do statystyk bibliotek. Jeśli technicy mówią o wieku techniki, to bibliotekarze bez żadnej przesady mogą mówić o wieku bibliotek. Książka staje się w naszym stuleciu czymś, co nie jest związane z klasą społeczną, czy grupą wyznaniową, książka nie liczy się z tymi przedziałami czy podziałami, lecz stała się czymś ponadklasowym. Książka — to wszędobylski naszej epoki.

Wspaniały rozwój bibliotek widzi się jasno zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Stanach Zjednoczonych. Dla przykładu podajmy, że w Waszyngtonie w r. 1900 były tylko 33 biblioteki. W ciągu następnych pięćdziesięciu lat liczba bibliotek wzrosła o dalsze 129 bibliotek federalnych i uniwersyteckich, a liczba książek z nieco ponad milion tomów do ponad 20 milionów. To stało się w mieście liczącym tylko 800.000 mieszkańców.

Biblioteka Kongresu należy do największych bibliotek w Stanach Zjednoczonych, ale jest młodsza od historii tego państwa. Posłowie pierwszych kongresów, które tułały się od Nowego Jorku do Filadelfii, gdyż państwo nie miało jeszcze stolicy, korzystali z bibliotek w Nowym Jorku czy Filadelfii. Tomasz Lear, sekretarz prezydenta Stanów, w liście z dnia 20 stycznia 1791 r. bardzo gorąco dziękował dyrektorom spółki bibliotecznej w Filadelfii za wypożyczanie książek członkom Kongresu. Kiedy jednak po długich targach pomiędzy stanami południowymi i północnymi Kongres uchwalił, że siedziba federalnego rządu będzie w Waszyngtonie i kiedy zbliżał się termin przeniesienia Kongresu i rządu do nowej siedziby, Kongres uchwalił w dniu 24 kwietnia 1800 r. kwotę $ 5.000 na zakup książek, umeblowania i wydatki administracyjne. Ustawa przewidywała i określała szereg szczegółów, jak np. kto ma zajmować się doborem książek z ramienia izby poselskiej, a kto z ramienia senatu. Pierwszymi dostawcami książek byli księgarze londyńscy: Bingham i Robert. Stworzona biblioteka, nazwana Library of Congress, co dziś często oznacza się skrótem L. C., mająca pomieszczenie w Kapitolu, posiadała na początku 964 tomy i 9 map.

Niedługi jednak był jej żywot, bo kiedy wojska brytyjskie zajęły Waszyngton w r. 1814, spaliły zarówno Kapitol jak i Biały dom. Z akt Kongresu uratowano tylko tyle, ile urzędnik Kongresu mógł zapakować i załadować na wynajętą przez siebie furmankę, zaprzężoną w cztery woły. Żołnierzy brytyjskich porównywano po tym akcie do mahometan, którzy spalili bibliotekę w Aleksandrii, nazywano barbarzyńcami, wrogami kultury. Ale i „The London Times" nie bardzo usprawiedliwiał ten czyn, kiedy pisał, że Kozacy oszczędzili Paryż, lecz Anglicy nie oszczędzili Kapitolu.

Kongres, mimo że skarb był pusty, uchwalił dotację na nową bibliotekę. Zakupiono bibliotekę byłego prezydenta Stanów, Jeffersona. Ale i ta nie miała szczęścia, bo pożary w latach 1825 i 1851 zniszczyły prawie połowę księgozbioru. Nieco szybszy rozwój Biblioteki nastąpił dopiero wtedy, gdy Smithonian Institutions przekazały jej w r. 1866 swe zbiory. Biblioteka Kongresu liczyła wówczas 660.000 tomów. Pomieszczenie Biblioteki w Kapitolu było już za ciasne, ale Kongres nie bardzo się spieszył z uchwaleniem funduszów na budowę oddzielnego gmachu dla Biblioteki. Po latach dyskusji, wniosków, przesłuchań organizowanych przez Komitet Kongresu dla spraw Biblioteki uchwalono fundusze, wybudowano wspaniały, marmurami lśniący gmach, nazywany dziś Main Building, i oddano do użytku w r. 1897. Wreszcie i ten budynek okazał się za szczupły; dodatkowy budynek wzniesiono w r. 1939. Są to największe w świecie gmachy przeznaczone jedynie na użytek biblioteki. Gmachy te są połączone podziemnym tunelem dla transportu i ruchu pieszego i pneumatycznymi rurami służącymi do przesyłania książek. Takie pneumatyczne przesłanie książki zabiera jedynie 30 sekund. Długość wszystkich półek z książkami wynosi ponad 250 mil. Mieści się na nich ponad 29.000.000 książek, rękopisów, map itp. Personel liczy 2.500 osób. Koszta utrzymania i zakupu wynoszą rocznie ponad 9 milionów dolarów.

Księgozbiór jest rozmieszczony w kilku działach Biblioteki.

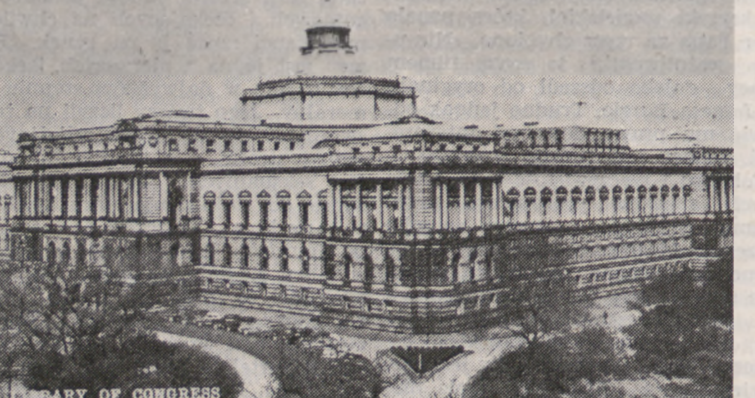
JAK POWSTAWAŁY ZBIORY?

Początkowo zakupy i drobne dary były głównymi sposobami powiększania zbiorów. Kiedy w r. 1897 powierzono Bibliotece prawo rejestracji copyright, egzemplarze wydawców stały się powažnym źródłem nabytków. Dalszym źródłem są wymiany duplikatów z bibliotekami czy instytucjami naukowymi poza Stanami Zjednoczonymi; wreszcie dary czy to uporządkowanych zbiorów czy bardziej przypadkowych zasobów. Łącznie źródła te powiększają zbiory biblioteczne o przeciętnie około 2.500.000 pozycji.

Dużą pomoc w nabywaniu zbiorów oddali urzędnicy służby dyplomatycznej, czy specjalni wysłannicy Biblioteki, zajmujący się zakupem książek, jak to miało miejsce w czasie ostatniej wojny. Tą drogą powstawały także zbiory jak orientalny czy słowiański. Początek np. zbiorom słowiańskim dała 80.000 tomów licząca biblioteka Judina, carskiego zesłańca na Sybir, którą zakupiono w r. 1907 i przywieziono z Krasnojarska.

KLASYFIKACJA I KATALOG KSIĘGOZBIORU

Zbiory Biblioteki znalazły się w r. 1897 w nowym gmachu, przystąpiono do opracowania własnego systemu klasyfikacji działowej. Nazwano go systemem Biblioteki Kongresu. Jego nowość i wyższość nad innymi systemami polega na tym, że jest otwarty, czyli można go w razie potrzeby rozszerzyć na każdym stopniu podziału bez naruszenia podstawowych ram. Okazał się on szczególnie wygodny dla niektórych wielkich bibliotek naukowych. Został on również przyjęty przez niektóre biblioteki poza Stanami, jak np. Biblioteka Watykańska (nowy katalog) oraz Narodowa Biblioteka Walijska.



Biblioteka Kongresu. Główny budynek.

USŁUGI DLA KONGRESU

Biblioteka Kongresu wyrosła z jego potrzeb i miała mu służyć. Powinność tę spełnia po dziś dzień. Jeśli początkowo służba ta polegała na wypożyczaniu książek dla członków Kongresu, to z czasem zakres usług tak się rozszerzył, że dla wypełnienia tych dodatkowych zadań powołano Legislative Reference Service. Ustawa z r. 1946 uczniła z Biblioteki biuro studiów Kongresu. Nie było w ostatnich latach sprawy interesującej Kongres, która nie byłaby równocześnie przedmiotem badań prowadzonych przez personel jego biblioteki.

Dla przedstawienia tej pracy weźmy dane z r. 1951. Ogółem Biblioteka udzieliła Kongresowi 45.000 informacji.

Wśród tych spraw były zagadnienia polityki zagranicznej, jak np. Dalekiego Wschodu, spór o naftę irańską, plan Schumana, unia Benelux, sprawy jak kontrola cen, tj. ustawy i zarządzenia wykonawcze odnoszące się do tej kontroli w Kanadzie, problemy wewnętrzno-amerykańskie, jak kontrowersja Mac Arthura, zagadnienie imigracji, leśnictwa, budowy wytwórni energii elektrycznej itd.

Dla opracowywania zagadnień prawniczych dla potrzeb Kongresu została powołana American Law Section, która w r. 1951 przygotowała około 100 projektów ustaw, dokonała tłumaczeń 542 obcych ustaw.

Wspomniana Legislative Reference Service i American Law Section zostały powołane do pracy dla Kongresu; w pracy tej pośrednio biorą jednak udział i inne działy Biblioteki.

USŁUGI DLA BIBLIOTEK

W stosunku do innych bibliotek Library of Congress spełnia przede wszystkim trzy zadania: 1) prowadzi centralny katalog bibliotek Stanów Zjednoczonych, 2) redaguje dla bibliotek drukowane karty katalogowe, 3) opracowywuje i publikuje listy amerykańskich wydawnictw i różnego rodzaju bibliografie.

Katalog centralny bibliotek amerykańskich, zwany The National Union Cathalog (liczy ponad 14 milionów kart katalogowych) wskazuje, w jakich bibliotekach znajdują się poszczególne książki. Kopie tego katalogu są udostępnione w bibliotekach w Filadelfii, Cleveland, Denver i Atlanta.

Niezależnie od centralnego katalogu Biblioteka Kongresu prowadzi i udostępnia kopie katalogu swych zbiorów w 56 bibliotekach w Stanach i 17 bibliotekach zagranicą. Ułatwia to w olbrzymim stopniu poszukiwania biblioteczne i bibliograficzne.

Ważną formą pomocy tak dla bibliotek naukowych jak i publicznych jest wysyłanie im drukowanych, znormalizowanych (3" × 5") kart katalogowych, które, zawierając dane oprócz systemu klasyfikacyjnego Biblioteki także i w systemie dziesiętnym, mogą być z łatwością użyte tak w bibliotekach naukowych jak i publicznych. Biblioteka wysyła rocznie około 20 milionów kart, co dało w sumie od rozpoczęcia tej akcji liczbę około 500 milionów kart wysłanych. System ten zmniejsza wybitnie pracę bibliotek i ich wydatki na klasyfikację i katalogowanie, a zapewnia jednolitość katalogowania i wysoki jego poziom. Oszczędność, jakiej w ten sposób dokonywują biblioteki, oblicza się na około 5 milionów dolarów rocznie.

BIBLIOTEKA A CZYTELNIK

Zarówno pracownicy naukowi jak i zwykli czytelnicy mogą korzystać ze zbiorów Biblioteki w 21 czytelniach i 225 jednoosobowych pokojach w ciągu dnia do godziny 10 wieczór, z porad bibliografów, z tanich służb jak fotograficzna itp. Blisko jednemu milionowi czytelników w r. 1951 wydano ponad dwa miliony tomów.

Specjaliści i inni czytelnicy korzystają w swej pracy z szeregu bibliografii wydawanych przez Bibliotekę periodycznie. Trudno je tu wyliczać, gdyż liczba publikacji sięga do 500 rocznie. Dla przykładu wymienię kilka: Public Affairs Bulletin, European Affairs Abstracts, Introduction to Europe, East European Accessions List, Monthly List of Russian Accessions, Korea, Indochina, itd. O szybkości pracy Biblioteki w tej dziedzinie może świadczyć fakt, że bibliografia dotycząca Korei została wydana w ciągu dziesięciu dni od rozpoczęcia się wojny koreańskiej.

Społeczeństwo korzysta z porad Biblioteki drogą korespondencyjną i ustną.

Korzystanie z czytelń Biblioteki nie jest ograniczone żadnymi warunkami i dlatego czytelnie przedstawiają widok nieco odmienny od tego, do którego przyzwyczaiło się oko w bibliotekach narodowych europejskich (nie w publicznych). Tu spotykają się wszyscy: inteligent obok robotnika, wykładowca z college'u czy uniwersytetu z uczniem ze szkoły średniej, high brass' officer z szeregowcem. Słowem — wiedza dla wszystkich, którzy jej szukają.

Warto by wspomnieć jeszcze o trzech działach pracy. Jeden — to prowadzenie od r. 1879 centralnej biblioteki dla niewidomych, obsługiwanie niewidomych w całym kraju za pośrednictwem bibliotek lokalnych i utrzymywanie czytelni w budynku Biblioteki. Drugim rodzajem pracy — to organizowanie wystaw, związanych z książką i jej dziejami oraz ważniejszymi wydarzeniami w życiu amerykańskim, czy ogólno-światowym. Niektóre z wystaw są stałe, np. The Bill of Rights, czy rękopisy wybitnych amerykańskich mężów stanu, czy pierwsze biblie drukowane, czy publikacje Biblioteki; inne wystawy są okresowe, 2 — 3-miesięczne, poświęcone takim np. zagadnieniom jak książka dla dzieci czy młodzieży, czy J. Bunyana „Pilgrims' Progress", architektura chińska, współczesna Turcja, stan Ohio, karykatura angielskiego Punch'a itd.

Koncerty muzyki salonowej, odbywające się w dwu salach koncertowych Biblioteki, nadawane przez radio w zakresie krajowym, mają już ustaloną opinię. Biblioteka organizuje również koncerty poza Waszyngtonem. Wydatki na koncerty są opłacane z dwu prywatnych funduszów oddanych do dyspozycji Biblioteki. Ze względu na ich dużą liczbę, bo przeciętnie około 50 w roku i na udział w nich wybitnych kompozytorów i muzyków wywierają one wpływ na rozwój kultury muzycznej Stanów Zjednoczonych.

BIBLIOTEKA A AUTOR I WYDAWCA

Biuro Copyright Office, które od r. 1897 podlega Bibliotece, prowadzi rejestrację praw własności autorskiej. W odniesieniu do książek, utworów muzycznych itd. O rozmiarze pracy mogą mówić takie cyfry za rok 1951: zarejestrowanych 170.000 pozycji; z czego 7.500 stanowiły książki, 27.000 broszury i ulotki, 45.000 periodyki, 52.000 utwory muzyczne, 8.000 ilustracje.



Biblioteka Kongresu. Główna czytelnia.

ZADANIA W CHWILI DZISIEJSZEJ

Chwila dzisiejsza stawia przed Biblioteką szczególne wymagania. Niezwykle szybki rozwój wiedzy i techniki, ich powiązanie z wysiłkiem zbrojnym, co tak jasno wykazała ostatnia wojna, nakłada na Bibliotekę Kongresu jak i inne biblioteki narodowe, obowiązek rejestracji dokonanych badań i ich wyników. Nauka i technika tak się rozrastają, że systematyczne rejestrowanie ich wyników jest konieczne. Może z jednej strony pozwolić na wykorzystanie tych wyników, z drugiej, na ich systematyczne rozbudowywanie. Rejestracja musi być tak sprawna, by wczoraj ogłoszone wyniki badań, już dziś znalazły się w bibliografii, i by w chwili, kiedy ktoś będzie potrzebował informacji o nich, mogły być odszukane za naciśnięciem guzika. W czasie ostatniej wojny uniknięto wielu niepotrzebnych badań, dlatego, że bibliografowie mogli odszukać i dostarczyć informacji o pewnych badaniach, których dokonano w różnych krajach.

Celem kontynuowania tego rodzaju pracy Kongres powierzył Bibliotece utworzenie Science Division i Technical Information Division. Bibliografia we współczesnym nam świecie staje się jednym z kluczy do nauki. Biblioteka Kongresu, jako główny ośrodek bibliograficzny Stanów Zjednoczonych i jako czynnik koordynujący te prace, staje się, jak to obecny bibliotekarz Kongresu, p. L. Evans określił, „pewnym rodzajem federalnego banku rezerw wiedzy".

Jan Wepsięć

Z ŻYCIA MIĘDZYNARODOWYCH ORGANIZACJI KATOLICKICH

(Dokończenie ze str. 1)

produkcji jest zupełnie niewspółmierny do światowego przyrostu ludności. Świeżo wydana praca dyrektora FAO (organizacja dla spraw żywieniowych i rolnictwa) p. de Castro „La geopolitique de la Faim" (omawiana w nrze 24 ŻYCIA z dnia 14 czerwca b. r.) jest wydarzeniem znamiennym i wykazującym brak podstaw do obaw, wyrażanych od tak dawna przez obóz maltuzjański i przez ich ekspertów w krajach anglosaskich (Vogt, Orr i inni).

Poza sprawą kształtowania zasad polityki populacyjnej, następną, która wysuwa się na plan pierwszy zainteresowań katolickich, jest ustalenie programu oświaty powszechnej w krajach o niższym stopniu rozwoju. Podstawowe zasady dla elementarnego wykształcenia są obecnie przedmiotem dyskusji i opracowania UNESCO i w tej materii opinia katolicka ma wiele do powiedzenia i do dopilnowania. Od ustalenia bowiem po jakiej linii pójdzie wychowanie i wykształcenie tych przyszłych pokoleń zależyć będzie zarówno cała przyszłość milionów istot ludzkich, sprawa ich zbawienia, jak i kształtowanie się stosunków między kontynentami i rasami. W tej dziedzinie wszystkie zgromadzenia misyjne są szczególnie zainteresowane. Komisja stała do spraw misyjnych Konferencji Międzynarodowych Organizacji Katolickich wysunęła to zagadnienie na czoło swych prac.

Te krótkie informacje są wystarczające dla wykazania, jaką rolę mogą i powinny odegrać międzynarodowe organizacje katolickie w urabianiu opinii, szczególnie wtedy, gdy uzyskają statut konsultatywny przy urzędowych, oficjalnych instytucjach międzynarodowych i będą mogły wówczas wysyłać swoich ekspertów celem wprowadzania lub bronienia zasad zagrożonego prawa naturalnego.

Jan Baliński Jundziłł

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

ŻYCIE „STAREGO TYGRYSA" NA FILMIE. Jedna z wytwórni francuskich wyprodukowała filmową biografię Clemenceau. Film ten, którego tytuł brzmi: „La vie passionnée de Clemenceau", posiada zdaniem recenzentów duże walory. Twórcy jego przeszukali starannie wszystkie dawniejsze taśmy filmowe starego i nowego kontynentu, by wydobyć z nich fragmenty, związane z postacią Clemenceau i środowiskami, w których działał. Film złożony jest więc w dużej mierze z różnych „wkładek" tego rodzaju, mimo to jednak udało się wywołać wrażenie jedności i ciągłości.

Sam Clemenceau potraktowany został — jak stwierdza w „Figaro Littéraire" Claude Mauriac — w sposób nieco „hagiograficzny", co było niewątpliwie w części wynikiem faktu, że doradcą historycznym filmu był syn „starego tygrysa" p. Michel Clemenceau. Mauriaca jednak gloryfikacja ta nie razi. Wytyka on natomiast twórcom filmu, że w częściach, dotyczących pierwszej wojny światowej i obrony Verdun, pominęli zupełnie Pétaina. „Nie jest to zapomnienie mimowolne — podkreśla Claude Mauriac — i dlatego sprawia nam przykrość. Nie wolno korygować historii, której bieg jest nieodwracalny".

DALSZE GŁOSY O POWIEŚCI PIETRKIEWICZA. Pośród licznych dalszych recenzji o powieści Jerzego Pietrkiewicza „The Knotted Cord" wyróżnia się głos znanego krytyka literackiego Juliana Symonsa w „Manchester Evening News" (z dnia 19 czerwca). Stwierdza on, że „The Knotted Cord" jest dziełem niezwykle się wyróżniającym". Pietrkiewicz — pisze dalej Symons — wyrobił sobie „płynny i indywidualny styl w prozie angielskiej". Równie pochwalnie pisze o powieści dr Kathleen Freeman w „Western Mail", głównym dzienniku Walii, ukazującym się w Cardiff. P. Freeman podkreśla, że „The Knotted Cord" jest nie tylko „bardzo dobrą powieścią", ale że zasługuje na uwagę także przez swój język. „Choć z punktu widzenia lingwistycznego język ten jest nieskazitelny (flawless), zawiera on zwroty sprawiające przyjemność przez swą osobliwą odrębność (strangeness), kiedy autor opisuje w ostrych zarysach scenę dla nas niezwykłą".

Również „Birmingham Mail" (z dnia 24 czerwca) stwierdza, że rzecz Pietrkiewicza wykazuje „subtelne opanowanie naszego języka".

Wedle „Current Literature" (zeszyt czerwcowy) autor odtwarza z „niezwykłą głębią i poetyckim wyczuciem" atmosferę zapadłej wsi polskiej. „Posiada on talent wysoce oryginalny i prawdziwą siłę twórczą".

Bardzo przychylnie oceniły też książkę dwa główne dzienniki irlandzkie: „The Irish Press" (z dnia 27 czerwca) i „The Irish Times" (z dnia 4 lipca). Wedle recenzenta „Irish Press" „The Knotted Cord" jest jedną z najlepszych powieści, jakie ukazały się w ciągu ostatnich miesięcy; przedmiot traktowany jest w sposób subtelny i wykazujący „niezawodne zrozumienie psychiki dziecka". Zdaniem „Irish Times" Pietrkiewicz opanował język angielski w sposób, którego mu zazdrościć mogą ludzie, mówiący tym językiem od urodzenia. „Jest to książka fascynująca" — pisze recenzent — i „nie jest niespodzianką, gdy się dowiadujemy, że p. Pietrkiewicz jest poetą". Jeśli poziom „The Knotted Cord" zostanie utrzymany w serii, zapoczątkowanej przez firmę Heinemann — czytamy w zakończeniu — to zarówno publiczność kupująca książki, jak młodzi pisarze będą mieli wszelkie powody do wdzięczności.

Również „Press and Journal" (z dnia 20 czerwca), dziennik ukazujący się w Aberdeen, mieście uniwersyteckim północnej Szkocji, entuzjastycznie pisze o powieści Pietrkiewicza i jej stylu.

ZMIANY W LUWRZE. W Wielkiej Galerii paryskiego Luwru nastąpiły ostatnio zmiany o bardzo radykalnym charakterze. Zmiany te zgodne są z nowym pojmowaniem historii sztuki. Obrazy grupowane są obecnie wedle swych pokrewieństw i skłonności duchowych malarzy, a nie wedle dawnego tradycyjnego podziału na szkoły. Zamiast porządku geograficznego wprowadzono chronologiczny.

„Luwr — jak pisze jeden z francuskich krytyków sztuki — staje się najpiękniejszym muzeum świata".

NOTATKI

WYMIERAJĄCE SZEREGI SUFRAŻYSTEK

Rzadko komu wiadomo, że pamięć zmarłej już dosyć dawno przywódczyni sufrażystek angielskich Mrs. Pankhurst czczona jest corocznie w dniu jej urodzin przez wymierające stopniowo członkinie stworzonego przez nią ruchu. Ruch ten, który osiągnął całkowicie swój cel: przyznanie kobietom brytyjskim czynnego i biernego prawa wyborczego, miał nie tylko przywódczynie, ale i męczenniczki. Bojowe wystąpienia sufrażystek doprowadziły do starć z policją, aresztowań, głodówek więziennych i sztucznego odżywiania głodujących.

Obecnie na placu pozostała już tylko niewielka liczba staruszek, pielęgnujących wspomnienia ruchu. Ostatnio z ich szeregów ubyła Annie Kenney, jedna z sufrażystek pochodząca nie z inteligencji, ale z ludu i odznaczająca się ongiś wielką energią i zapałem w pracy dla ruchu.

ZGON HILAREGO BELLOCA

W chwili oddawania numeru do druku otrzymaliśmy wiadomość, że zmarł wybitny katolicki pisarz angielski Hilary BELLOC, wielki przyjaciel Polaków.

Trzy lata temu Belloc obchodził 80-lecie urodzin; ŻYCIE ogłosiło wówczas obszerny artykuł R. Brzezińskiego p.t. „O pisarzu angielskim, który kocha Polskę".

W jednym z najbliższych numerów ŻYCIA ukażą się artykuły omawiające jego twórczość, nie dość może znaną polskiemu czytelnikowi.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9134. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderami względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski, 101, Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Libraire, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", 62) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54, Sechamerstr 4, Bar. 16 B/3. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 1e, Lund Sverige, Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83, East 22-nd Street Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2.